

JUDY CAMPBELL

Świat za szybą

PROLOG

Pod wpływem silnych podmuchów wiatru drzwi prowadzące do ogrodu raz po raz uderzały z trzaskiem o framugę. Dziesięcioletni Michael przyglądał się im z rosnącą irytacją. Najchętniej zamknąłby je na klamkę, ale Margery za karę zabroniła mu ruszać się z miejsca.

Z ogrodu dobiegały głosy innych dzieci, bawiących się wesoło na trawniku. Za chwilę, pomyślał, wróca do środka, bo wychowawczyni właśnie obiecała przeczytać wszystkim bajkę. Ktoś, śmiejąc się w głos, biegł już dróżką prowadzącą do wejścia.

- Madeline! Wracaj tu szybko! Zaczekaj na innych! To Margery, dyrektorka domu dziecka Oaklands Home, karciła jedną z podopiecznych.

Michael podniósł głowę i zobaczył, jak mniej więcej pięcioletnia dziewczynka pędzi w kierunku drzwi z wyciągniętymi przed siebie dłońmi. Na jej ramionach podskakiwały splecione z ciemnych włosów warkoczyki. Chłopiec zamarł z przerażenia, bo przeszkłone drzwi, otwarte kolejnym silnym podmuchaem, właśnie zamykały się znowu. Jeśli mała natychmiast się nie zatrzyma, nie uniknie zderzenia ze szklaną taflą.

- Uważaj na drzwi! - krzyknął.

Za późno! Obrazy zaczęły przesuwać się przed oczami Micheala niczym nakręcony w zwolnionym tempie film. Ręka dziewczynki przebiła szybę, posypało się szkło, drobna postać upadła na podłogę, a w powietrzu trysnęła fontanna krwi, tworząc na podłodze wielką, czerwoną kałużę.

Chłopca sparaliżował lęk. Serce waliło mu jak oszałałe. Wpatrywał się przerażonym wzrokiem w skuloną na podłodze, łkającą dziewczynkę, leżącą pośród odłamków szkła. Miał wrażenie, że jeszcze chwila, a cały pokój utonie we krwi.

- Na pomoc! Niech ktoś tu przyjdzie! - wołał.

Z nagłym przyływem energii zerwał się z miejsca i ukląkł przy rannej. Była tak blada, że zrozumiał, iż musi coś zrobić, by nie dopuścić do dalszego upływu krwi. Przypomniawszy sobie film, w którym ktoś tamował krwotok rannemu w nogę gangsterowi. Niestety, niewiele pamiętał z jego treści, ale instynktownie wyjął z kieszeni zmiętą chustkę do nosa, uformował z niej tampon i z całej siły przycisnął do rany.

Dziewczynka podniosła głowę i spojrzała na niego wystraszonymi, wielkimi oczami o barwie opadłych jesiennych liści.

- Nie bój się. To tylko małe skaleczenie. A kiedy leciałaś przez tę szybę, wyglądałaś jak prawdziwa supermenka. - Wolną ręką delikatnie uściśnął jej dłoń.

- Chyba byłam niegrzeczna, co? - szepnęła i przymknawszy powieki, wsparła głowę na ramieniu Michaela.

W pokoju nagle zrobiło się tłoczno. Przestraszone widokiem krwi maluchy szeptały między sobą z przejęciem. Dopiero pojawienie się Margery unormowało nieco sytuację. Dyrektorka wyprosiła wszystkich do ogrodu, a sama przykucnęła przy dwójce dzieci na podłodze.

- Madeline, biedactwo, coś ty narobiła? Jak to dobrze, że Michael był w pokoju, prawda? Na szczęście doktor

Burford akurat jest na górze przy jednym z chłopców. Zaraz go zawołam.

Lekarz był szczupłym, młodym mężczyzną o miłej twarzy. Przyklęknął przy dzieciach na podłodze i delikatnie podniósł rękę rannej, po czym przeniósł spojrzenie na chłopca.

- Masz na imię Michael, tak? Muszę przyznać, że świetnie się spisałeś. Mógłbyś jeszcze przytrzymać rękę tej młodej damy, żebyśmy mogli ją dokładnie obejrzeć?

Michael skinął głową. Rozpierała go duma. Doktor Burford nie tylko go pochwalił, ale w dodatku, nie zważając na to, że Mike miał dopiero dziesięć lat, poprosił o pomoc. Z przejęciem przyglądał się teraz, jak lekarz ostrożnie zdejmuje przesiąkniętą krwią chustkę ze skaleczenia.

- Obawiam się, że jest do wyrzucenia. - Lekarz uśmiechnął się do chłopca. - Madeline będzie musiała pojechać do szpitala, bo ranę trzeba będzie oczyścić i zaszyć. Ale nie ma powodów do niepokoju. Dzięki tobie nic już jej nie grozi.

Rzeczywiście, krwawienie zdawało się słabnąć. Lekarz wyjął z torby spory opatrunek z gazy i przycisnąwszy go do rany, obandażował rękę dziewczynki.

- To ty przyłożyłeś jej chustkę? - zapytał chłopca.

- Tak. Nie wiedziałem, jak inaczej zatamować krew.

- Zasłużyłeś sobie na medal. Świetna robota. Musimy tylko utrzymać zacisk i nie opuszczać ręki, żeby zapobiec dalszemu krwawieniu.

Michael promieniał ze szczęścia. Jego nieposkromiona natura mało kiedy zjednywała mu przychylność dorosłych, zwłaszcza że miał dziwny talent do pakowania się w kłopoty. Ale dzisiaj, choć raz, coś mu się udało!

Niebawem nadjechało pogotowie. Dwóch ubranych w zielone uniformy sanitariuszy wtoczyło do pokoju wózek na kółkach.

- Co z nią, doktorze? - zapytał jeden z mężczyzn. Lekarz właśnie zakończył osłuchiwanie dziewczynki.

- Jest lekko zszokowana - wyjaśnił spokojnie. - Ciśnienie sześćdziesiąt na czterdzieści i częstoskurcz. W drodze do szpitala podawajcie jej tlen. Pojadę za wami.

Michael przyglądał się doktorowi Burfordowi z rosnącym podziwem. Imponował mu jego spokój i łatwość, z jaką opanował sytuację.

Otoczona troskliwą opieką Madeline chyba poczuła się lepiej, bo kiedy owinięta w ciepły koc opuszczała pokój w ramionach jednego z sanitariuszy, zdobyła się nawet na słaby uśmiech. Przed wyjściem lekarz podszedł do Michaela i poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

- Świetnie się dzisiaj spisałeś chłopcze. Większość ludzi na twoim miejscu straciłaby głowę. Masz naturalny dar radzenia sobie w kryzysowych sytuacjach.

Właśnie wtedy Michael Corrigan, dziesięcioletni urwis z Oaklands Home, postanowił zostać lekarzem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zdjęcie przypięte do tablicy ogłoszeń w rejestracji przedstawiało mężczyznę przystojnego niczym gwiazdor filmowy. Miał krótkie, przyszczyżone na jeża włosy, niebieskie, wesołe oczy i wyszczerzone w uśmiechu, równe, śnieżnobiałe zęby. „Proszę mnie leczyć, kiedy tylko pan zechce, doktorze”, dopisał ktoś drukowanymi literami pod fotografią.

Natomiast obok zdjęcia widniała adnotacja wykonana starannym pismem ordynator Janet Lessiter. „W poniedziałek, 3 kwietnia, powitamy doktora Michaela Corrigan na stanowisku nowego szefa oddziału nagłych wypadków”.

Lindy Jenkins przyjrzała się fotografii z powątpiewaniem. Ciekawe, jak długo taki gość tu wytrzyma? Może nikt mu nie powiedział, że urodą w szpitalu Świętego Łukasza niczego się nie wskóra? Żeby sobie tu poradzić, trzeba mieć wrażliwość nosorożca i niezgorsze poczucie humoru.

- Kurczę, ale facet! - Sheila Watson właśnie podeszła do tablicy i z uznaniem przyjrzała się zdjęciu. - Pamiętasz swój ostatni horoskop? Masz zwolnić tempo i nie przegapić szansy na nowy romans.

Lindy wytarła niemądry napis pod fotografią.

- Tempo? Jakie tempo? Moje życie ogranicza się ostatnio do spożywania niskokalorycznych posiłków i sporadycznych wizyt na siłowni. A poza tym, siostrzyczko Watson, przypominam, że za dziesięć minut zaczynamy dyżur, więc może przynajmniej na razie nie będziemy zawracać sobie głowy romansami - powiedziała nieco ostrzej, niż zamierzała.

Zmieszana, ujęła koleżankę pod ramię.

- Przepraszam, ale chyba wstałam dzisiaj lewą nogą. Chodź, sprawdzimy, czy mamy dostatecznie dużo igieł i opatrunków - dodała, kierując się do oddzielonej zasłonką od reszty sali pomieszczenia zabiegowego.

Ciekawe, co ją ugryzło, zastanowiła się Sheila. Lindy mało kiedy bywała kaśliwa i panowała nad sobą nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Tymczasem dzisiaj była wyraźnie rozdrażniona.

Nieco tęgawa pielęgniarka wzruszyła ramionami i ruszyła w ślad za przyjaciółką.

- Jesteś okropnie cyniczna, wiesz? Niektóre horoskopy naprawdę się sprawdzają.

- Skoro tak, to może napiszą, ile czasu nam zostało do zamknięcia szpitala, bo wołałabym wiedzieć, kiedy zostanę bez pracy. A tymczasem pomóż mi ustawić ten wózek.

Sheila pchnęła wózek z materiałami opatrunkowymi pod ścianę, dzięki czemu w niewielkim pokoiku zrobiło się nieco przestronniej.

- Jeśli zamkną szpital, to stracimy pracę, zanim zdążymy poznać urodziwego doktora Corrigan - westchnęła ze smutkiem.

- Tylko jedno ci w głowie - roześmiała się Lindy, zerkając na zegarek. - Tymczasem jest już wpół do dziewiątej i jeśli o mnie chodzi, nawet sam George Clooney nie byłby w stanie przyprawić mnie teraz o przyspieszone bicie serca. Mam w nosie wszystkich, choćby nie wiem jak przystojnych facetów.

Ledwie Lindy skończyła to zdanie, a za jej plecami rozległo się znaczące chrząknięcie, po czym ktoś rozchylił zasłonkę. Kiedy się obejrzała, jej oczom ukazał się rosły mężczyzna w skórzanej kurtce i kasku motocyklisty, który całkowicie zasłaniał mu twarz. Przybysz przez chwilę mocował się z kaskiem. - Do diaska! To cholerstwo jest po prostu za małe. - Opuścił ręce w geście rezygnacji. - Przepraszam, ale nie wiedzą panie, gdzie mógłbym znaleźć doktor Lessiter? Jestem z nią umówiony, ale się spóźniłem, bo utknąłem w korku.

Och, ci pacjenci, westchnęła Lindy w duchu. Chyba nie umieją czytać. Przecież przy wejściu napisane jest wyraźnie, że mają się zarejestrować i czekać na wezwanie. - Doktor Lessiter jest prawdopodobnie za tymi drzwiami w końcu korytarza - wyjaśniła, starając się ukryć irytację. - Obawiam się jednak, że nawet ze skierowaniem nie może pan tam wejść. Proszę najpierw zapisać się w rejestracji i poczekać na swoją kolej.

Mężczyzna podjął kolejną próbę uwolnienia głowy z nieszczęsnego kasku i tym razem odniósł sukces. Kiedy wreszcie odsłonił twarz, Lindy aż przełknęła ślinę z wrażenia. Bez trudu rozpoznała adonisa z fotografii na tablicy ogłoszeń. Te same wyraziste rysy, modnie przystrzyżone włosy i roześmiane oczy w kolorze lazuru.

Dziwne, ale zaczęła żałować, że nieszczególnie zadbała rano o swój wygląd. Nie nałożyła ani krztyny makijażu i teraz pewnie wygląda jak upiór. Co gorsza, po myciu nie ułożyła włosów suszarką, tylko wytarła je ręcznikiem, więc zamiast fryzury ma wokół twarzy burzę beładnie skręconych loków. Ale właściwie to, że w ogóle pojawiła się dziś w pracy, graniczyło z cudem, bo kiedy wstała, nawet włożenie spodni wydawało się jej przeszkodą nie do pokonania.

Zdjęcie z rejestracji nie odzwierciedlało W pełni przymiotów nowego lekarza, którego cała postać promieniowała spokojem i równowagą ducha, budzącą natychmiastowe zaufanie. Co więcej, Lindy mogłaby się założyć, że mężczyzna ów doskonale zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie robił na kobietach. Musiał się nieźle ubawić, pomyślała, słysząc wygłaszane przez nią przed chwilą uwagi na temat przystojnych facetów.

Tymczasem nowo przybyły oszacował wzrokiem jej zgrabną figurę. Zapewne zauważył wyzywający wyraz w

oczach Lindy, bo oparłszy się o szafkę z narzędziami, wyjaśnił z uśmiechem:

- W rejestracji nikogo nie było. A poza tym nie jestem pacjentem i chcę się widzieć z doktor Lessiter jako jej kolega. Mam tutaj pracować.

Pielęgniarki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Gość najwyraźniej nie wie jeszcze, co go czeka. Poprzedni szef oddziału nagłych wypadków odszedł ze szpitala po okropnej awanturze z panią ordynator, słynącą z nad wyraz przykrego usposobienia. Lata pracy ponad siły i borykania się z brakiem personelu na tyle wykoślawiły charakter Janet, że wszyscy woleli schodzić jej z drogi. Natomiast ten nowy lekarz, pewnie nieświadom tego, co go czeka, nie przejawia nawet śladu zdenerwowania. Lindy uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem.

- Przepraszam. Oczywiście, uprzedzono nas o pana przybyciu, doktorze. Na tablicy w rejestracji nawet wisi pana zdjęcie, ale w tym kasku nie można było pana rozpoznać. Tymczasem tak wielu pacjentów próbuje dostać się do lekarza poza kolejnością, że musimy z największą surowością przestrzegać reguł. Miło nam pana poznać. Nazywam się Lindy Jenkins, a to jest Sheila Watson - powiedziała, wskazując na koleżankę. - Obie jesteśmy pielęgniarkami na oddziale nagłych wypadków.

- No to będziemy się często widywać - odrzekł, wyciągnąwszy rękę na powitanie. - Jestem Mike Corrigan.

Uśmiechnął się tak zniewalająco, że Sheila oblała się rumieńcem i w popłochu pobiegła do rejestracji, skąd właśnie dobiegał dzwonek telefonu. Mike Corrigan spojrzął na Lindy z rozbawieniem.

- Nie wiem, czy czeka tam sam George Clooney, ale w rejestracji aż roi się od pacjentów. Chyba macie przed sobą ciężki dzień.

To znaczy, że słyszał wszystkie jej uwagi, pomyślała Lindy i poczuła, że się czerwieni. Zapewne uważa ją teraz za lekko stukniętą. Postanowiła sprowadzić rozmowę na bardziej neutralne tory.

- Pracował już pan w tych stronach?

- Wychowałem się niedaleko i odbywałem tu staż. Ale chyba nie mieliśmy dotąd okazji się spotkać, prawda?

Ponownie oszacował wzrokiem sylwetkę Lindy, która natychmiast zaczęła żałować, że spodnie i bluza służbowego uniformu tak ciasno przylegają do ciała.

- To dziwne, ale mam wrażenie, że już panią kiedyś widziałem. Choć z drugiej strony to raczej niemożliwe, bo nie zapomniałbym przecież tak pięknej kobiety! - Roześmiał się, patrząc jej prosto w oczy.

Lindy znowu poczuła przyływ irytacji. Oto kolejny przystojniak, który na widok kobiety nie potrafi się oprzeć pokusie flirtu. I pewnie jeszcze jest przekonany, że jego komplementy sprawiają jej przyjemność.

Ale tym razem nie zamierzała dać się zwieść. Raz na zawsze wyleczyła się z romansowania z tak zwanymi pociągającymi mężczyznami, którzy do zaoferowania nie mają nic poza wyglądem, a w dodatku żywią przekonanie, że należy się im boska wręcz cześć. A właśnie dzisiaj miała szczególny powód, by pamiętać o przestrodze, jakiej udzieliło jej życie. Mimo to, choćby z czysto profesjonalnych względów, chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat nowego lekarza.

- Gdzie pan pracował ostatnio? - zapytała.

- W przyszpitalnym pogotowiu w slumsach Nowego Jorku. Było dość ciężko, ale nawet przez chwilę nie żałowałem, że tam jestem. Gdyby los nie zmusił mnie do zmiany planów, nigdy bym stamtąd nie wyjechał.

Mimo że starała się tego nie okazać, słowa Mike'a Corrigan'a wywarły na niej silne wrażenie. Praca w

niezamożnych dzielnicach Nowego Jorku musi stanowić dla lekarza nie lada wyzwanie.

- Więc co skłoniło pana do powrotu na angielską prowincję? - zapytała, nie będąc w stanie powstrzymać ciekawości.

Coś na chwilę zmieniło się w wyrazie jego twarzy. Spochmurniał i lekko zacisnął usta.

- Pewne sprawy rodzinne sprawiły, że uznałem, iż jestem tu bardziej potrzebny.

Lindy przygryzła wargi. Wyraźnie trafiła w jakiś słaby punkt nieznanego. Chyba wcale nie jest tak beztroskim człowiekiem, jakiego próbuje udawać. Musiała przyznać, że fakt, iż nie obnosi się z własnymi problemami, świadczy raczej na jego korzyść. W końcu ją samą też raczej trudno byłoby nakłonić do zwierzeń.

Mike Corrigan wzruszył lekko ramionami i przywrócił twarzy pogodny wyraz.

- Będę miał więc okazję odwiedzić stare śmieci. A pani? Też stąd pani pochodzi?

- Owszem. Spędziłam tu całe życie.

- Skoro tak, to mam nadzieję, że wprowadzi mnie pani w obecne życie Manorfield. Będę na pani polegał. I proponuję, żebyśmy mówili sobie po imieniu.

Uśmiechnął się i rzucił Lindy tak przenikliwe spojrzenie, że na moment prawie zapomniała, gdzie się znajdują. Sama nie była pewna, czy to, co czuje w tej chwili, to rozdrażnienie czy też może sympatia do nowo poznanego lekarza. A do tego nie rozumiała, jakim cudem, po tym wszystkim, czego doświadczyła ze strony Jake'a, może odczuwać jakiegokolwiek pozytywne emocje na widok innego mężczyzny.

Zirytowana faktem, że Mike Corrigan najwyraźniej przyjmuje za pewnik, że ona z ochotą przystanie na jego propozycję, zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Sądzę, że sam świetnie sobie poradzisz - odparła z godnością. - Niewiele się tu zmieniło.

- Skoro tak twierdzisz...

Przez chwilę przyglądał się jej z uwagą, po czym podniósł z podłogi torbę, wrzucił do niej kask i odwrócił się.

- Do zobaczenia, siostró Jenkins. Aha, jeszcze jedno - dodał na odchodnym. - Gdybyśmy znaleźli czas na przerwę, to proszę pamiętać, że lubię czarną kawę z trzema łyżeczkami cukru.

- Co za typek! - mruknęła pod nosem, ledwie Mike zniknął za zasłonką. Jednak jej rozdrażnienie powoli ustąpiło miejsca rozbawieniu, szczególnie kiedy wyobraziła sobie spotkanie nowego szefa z Janet Lessiter. A może jego spokojne, żartobliwe usposobienie ułagodzi nieco humorzastą panią ordynator?

Nie minęło dziesięć sekund, a u boku Lindy pojawiła się Sheila z rozpromienioną twarzą.

- Jest niesamowity, co? Widziałaś te oczy i ten uśmiech? Tylko mi nie mów, że nie zrobiły na tobie wrażenia.

- Oczywiście, że nie.

- Uwielbiam mężczyzn z niebieskimi oczami - rozmarzyła się Sheila.

- Nie zwróciłam na nie uwagi.

- Nie wierzę. Nie ma dziewczyny, pod którą nie ugięłyby się nogi na widok takiego faceta! - zaprotestowała pielęgniarka.

Lindy cisnęła w nią kulką zmiętego papieru.

- Tyle że jest pewnie żonaty, ma trójkę dzieci i nie zabawi tu długo, szczególnie przy naszej ordynator. Przecież żaden szef oddziału dotąd z nią nie wytrzymał. Poza tym jaki lekarz szukałby stałej pracy w szpitalu, któremu grozi zamknięcie?

- Może i tak, ale przecież musiał wiedzieć, co go tu czeka. Praca na nagłych wypadkach jest wszędzie taka sama, a ktoś

na pewno zdążył go już uprzedzić o wrednym charakterze Janet. Jak widać, zdecydował się podjąć i to wyzwanie. Nie zapominaj, że Manorfield to wspaniałe, tętniące nocnym życiem miasto o długiej historii. A do tego wystarczy kilka minut, żeby znaleźć się w autentycznej, wiejskiej głuszy. Czego jeszcze potrzeba do szczęścia?

Żeby to życie było rzeczywiście tak proste, westchnęła Lindy w duchu, wypisując na tablicy nazwiska zapisanych na dzisiaj pacjentów. Mieszkać w pięknym domu, jeść smaczne rzeczy, kupować fajne ciuchy i cieszyć się szczęściem. Tyle że czasem nic z tego nie wychodzi.

Mike podążał długim korytarzem z zadowolonym wyrazem twarzy. Mimo wszystko, sprawy miały się całkiem nieźle. Wrodzony optymizm sprawiał, że z łatwością dostrzegał jasne strony życia. A spotkanie ze śliczną dziewczyną, z którą miał tu pracować, nastroiło go na tyle dobrze, że szybko zapomniał o dręczących go wcześniej wątpliwościach i przykrościach, jakich z pewnością nie oszczędzi mu nowa szefowa.

Lindy Jenkins wywarła na nim ogromne wrażenie. Z upodobaniem raz po raz wracał myślami do jej rewelacyjnej figury i związanych na karku poskręcanych, ciemnych włosów. Poczuł, że dziewczyna zaczyna go fascynować. Z jednej strony, dała mu wyraźnie do zrozumienia, by trzymał się od niej z daleka, ale z drugiej, w jej oczach malowało się coś na kształt wyzwania. Poza tym przez cały czas miał nieodparte wrażenie, że już kiedyś widział te sarnie oczy koloru jesiennych liści.

Postanowił, że musi nawiązać z Lindy bliższą znajomość, zwłaszcza że, tak jak przypuszczała Sheila, Michael Corrigan miał w zwyczaju podejmować wyzwania. Nie chodziło o to, żeby zaraz nawiązać romans. Po pierwsze, rodzinne problemy w połączeniu z nową pracą nie zostawiały mu zbyt wiele

czasu na flirty, a po drugie, niemożliwe, by taka dziewczyna jak Lindy nie miała stałego partnera. Mimo to nieprzejednane spojrzenie jej ciemnych oczu stanowiło pokusę, której nie potrafił się oprzeć.

Ciekawe, rozmyślał, że jego życie zatoczyło teraz pełny krąg i znów znalazł się w punkcie wyjścia. Nie za bardzo przejmował się trudnym charakterem nowej szefowej. Jakoś sobie z nią poradzi. Tak naprawdę niepokoił go Max, pięcioletni urwis, którego wychowanie bez wątplenia dostarczy mu silnych wrażeń. A właśnie ze względu na chłopca Mike Corrigan zdecydował się na powrót do Manorfield.

Max przeszedł w życiu tak wiele, że Mike za nic w świecie nie opuści go teraz, skazując na podobne do własnego dzieciństwo.

Na oddziale buzowało jak w ulu. Wokół rejestracji kręcił się tłumek oczekujących na przyjęcie pacjentów, a przez wahadłowe drzwi przybywali coraz to nowi ludzie w poszukiwaniu pomocy. Mimo że oddział nagłych wypadków pracował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, co rano pojawiali się liczni pacjenci z mniej palącymi przypadłościami, podczas gdy personel wciąż jeszcze zajmował się poważniej chorymi, którzy trafili tu w nocy. Dziś mieli już za sobą wypadek starszej pani z pękniętą kością biodrową, przedawkowanie leków i pokiereszowanego cyklistę.

Lindy, Sheila i Carrie Brennan, odbywająca pielęgniarski staż u Świętego Łukasza, zebrały się pod tablicą, na której Lindy opisywała w skrócie kolejne przypadki i kierowała je do oddzielnych, przesłoniętych zasłonkami pomieszczeń. Z gabinetu zabiegowego dobiegał głos Janet, która właśnie usiłowała wywalczyć łóżko na ortopedii dla pacjentki z

pękniętym biodrem. Tymczasem Mike i reszta zespołu ratowała przywiezioną z miasta ofiarę wypadku.

- Nie ma na co czekać. Bierzemy się do roboty - komenderowała Lindy. - W jedyńce czeka pani Janus, starsza kobieta z rozciętym kolanem. Carrie, oczyść ranę, dowiedz się, czy dostała zastrzyk przeciwtężcowy, przeprowadź dokładny wywiad, zmierz ciśnienie i tak dalej. Aha, i sprawdź, czy nie doznała innych obrażeń. W razie wątpliwości poproś kogoś o pomoc. Sheila, zajmiesz się panem Morlandem w dwójce. Przytrzasnął sobie palec drzwiczkami samochodu. Trzeba go zawieźć na prześwietlenie. Sama idę do trójki.

Carrie dopiero teraz zauważyła nadal tkwiące na tablicy zdjęcie Mike'a Corriganana i aż gwizdnęła z uznaniem.

- A ten kiedy się u nas pojawił? - zapytała z wyraźnym irlandzkim akcentem. - Założę się, że pacjenci go uwielbiają. Nie wiecie przypadkiem, czy nie szuka pomocy jakiejś młodej osoby, która oprowadziłaby go po mieście? Bo jeśli tak, to ja się zgłaszam na ochotnika.

- Sama go o to zapytaj! - parsknęła Lindy i skierowała się do czekającej na nią sześćioletniej pacjentki. Miała tylko nadzieję, że cały damski personel szpitala nie straci głowy dla wyjątkowo urodziwego doktora Corriganana.

Trudno było mieć pretensje do Mirandy Fyles - Smith o to, że ma taką matkę, ale obecność owej damy zdecydowanie utrudniała Lindy rozmowę z małą pacjentką.

Pani Fyles - Smith miała na sobie świetnie skrojone czarne spodnie i piękny żakiet z wielbłądziej wełny. Włosy spięte wykonaną z żółwiej skorupy kłamarą okalały nieco zbyt długą, starannie umalowaną twarz.

- To po prostu niemożliwe - zaskrzeczała ze złością. - Czekamy tu już od kilku godzin. Jak można się tak guzdrać? Jestem umówiona na lunch, a tymczasem opiekunka Mirandy pewnie tkwi w łóżku z jakimś facetem, zamiast się tu pojawić.

Sama nie wiem, za co jej płacę. Nie moglibyście się trochę pospieszyć?

Lata doświadczenia nauczyły Lindy przyjmować z uśmiechem narzekania pacjentów.

- Proszę pani, Miranda została przyjęta najszybciej, jak to było możliwe. Zdjęcie wykazało, że ma pękniętą kość przedramienia. To nieskomplikowane złamanie, więc trzeba tylko założyć gips, a za kilka tygodni wszystko zrośnie się bez śladu.

Miranda, pulchna, ruda dziewczynka w kościanych okularkach i nietwarzowym szkolnym fartuszką, zalała się łzami.

- Boże, co za maruda! - westchnęła pani Fyles - Smith, nerwowo bębniąc palcami o elegancką, skórzaną torebkę. - Weź się w garść, moja droga. Może cię to w końcu nauczy, że niedobrze jest być taką niezdarą.

Dziewczynka zaniósłła się jeszcze głośniejszym szlochem, więc Lindy objęła ją serdecznie. Mimo że mała była bardzo wystraszona, jej rodzona matka wyraźnie nie zamierzała jej pocieszyć. Ująwszy delikatnie rękę dziewczynki, pielęgniarka wskazała na obrzmiałe miejsce na przedramieniu.

- Widzisz, tu właśnie jest to pęknięcie. Ale kiedy założymy ci gips, wcale nie będzie cię boleć. A teraz opowiedz mi, jak to się stało, kochanie. Wywróciłaś się na placu zabaw? Opowiedz mi wszystko dokładnie.

Próba odwrócenia uwagi dziewczynki zakończyła się sukcesem, bo mała zdrową ręką zdjęła okulary, otarła łzy i w skupieniu rozpoczęła opowieść.

- Zjeżdżałam na kolanach ze zjeżdżalni i przewróciłam się na Jane Gosforth. Strasznie mnie zabolowało.

- Można tylko współczuć biednej Jane. Nie sądzę, żeby czuła się zbyt dobrze, kiedy taki klocek się na nią zwałił! -

Pani Fyles - Smith przysiadła na krześle i z wdziękiem założyła nogę na nogę.

Lindy zauważyła zawstydzenie na twarzy dziecka, więc pospieszyła mu w sukurs, starając się załagodzić ból wywołany przykrą uwagą matki.

- O wiele fajniej zjeżdża się na kolanach niż zwyczajnie na pupie, prawda? Tylko, że wymaga to sporo odwagi. Ale domyślam się, że jesteś bardzo dzielną dziewczynką.

Miranda aż zamrugwała z niedowierzania. Chyba nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że może wzbudzić czyjś podziw. Uśmiechnęła się niemrawo do Lindy, która najdelikatniej jak umiała naciągała jej na rękę rękaw z grubej gazy. Grymas bólu wykrzywił twarz małej, ale nawet nie pisnęła. Ze wszystkich sił starała się okazać godną pochwały.

- No to najgorsze mamy już za sobą. Teraz wystarczy owinąć to bandażem z gipsu. Zaraz będzie po wszystkim, tylko staraj się przez chwilę nie poruszać.

Miranda przełknęła ślinę, aż w końcu dostała czkawki z przejęcia. Lindy nagle zrobiło się bardzo żal tej małej dziewczuszki, której matka, nawet w tej chwili, pochłonięta była wyłącznie własną osobą.

- Byłaś wspaniała - pochwaliła małą, układając jej rękę na temblaku. - Zaraz skończę i będziesz mogła zacząć zbierać autografy na gipsie.

Pani Fyles - Smith ziewnęła, po czym wyjęła z torebki komórkę. Lindy zaprotestowała natychmiast.

- Przepraszam, ale nie może pani stąd dzwonić. Telefony komórkowe mogą zakłócić pracę naszego sprzętu.

- No nie, tego już doprawdy za wiele! Nie życzę sobie pouczeń ze strony niższego personelu. Przykro mi, ale muszę uprzedzić znajomego, że się spóźnię na lunch - oznajmiła i zabrała się za wybieranie numeru.

Lindy poczuła, że zaczyna się w niej gotować krew.

- Jeśli naprawdę musi pani zadzwonić, proszę wyjść na korytarz. Tutaj naraża pani zdrowie i życie pacjentów.

Kobieta podniosła się z krzesła.

- Niech pani nie przesadza - parsknęła. - Chodź, kochanie - zwróciła się do córki. - Mam wrażenie, że ona już z tobą skończyła.

- Proszę nie zapomnieć zgłosić się jutro rano na kontrolę na ortopedii.

Lindy nie była pewna, czy kobieta usłyszała jej słowa, gdyż bez pożegnania ruszyła w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą oszołomione dziecko. Lindy uprzątnęła pomieszczenie zabiegowe i z miską zawierającą resztki gipsu wynurzyła się zza zasłonki, nadal kipiąc ze złości. Pani Fyles - Smith nie odeszła daleko. Stała właśnie przy biurkach, na których pracował cały zestaw szpitalnych komputerów, i z ożywieniem rozmawiała przez komórkę.

Lindy energicznym krokiem ruszyła w jej stronę. Z pewnością każdy sąd ją uniewinni, jeśli wyleje tej babie resztę gipsu na głowę.

Nagle poczuła na ramieniu czyjąś silną dłoń.

- Pozwolisz, że sam to załatwię, zanim ją zamordujesz?

Mike Corrigan, który właśnie podniósł się z jednego z komputerów, mrugnął do Lindy porozumiewawczo, po czym podszedł do kobiety i najspokojniej w świecie wyjął jej z dłoni telefon.

- Nie tutaj - rzekł spokojnie.

- Pan wybaczy, ale to prywatna rozmowa.

- Na terenie szpitala nie ma miejsca na prywatne rozmowy - poinformował ją stanowczo.

Pani Fyles - Smith spojrzała na niego wzrokiem bazyliuszka, ale sam widok imponującej sylwetki lekarza skłonił ją do przyjęcia bardziej pojednawczej postawy.

- Być może nie dosłyszała pani, co mówiła siostra Jenkins - ciągnął Mike spokojnym tonem. - Nikomu nie wolno używać telefonów komórkowych na terenie szpitala, bo mogą zakłócić pracę ratującej życie aparatury. - Wyłączył telefon i podał go kobiecie.

Lindy wstrzymała oddech. Ciekawe, co teraz zrobi to okropne babsko. Ale matka Mirandy zdołała się już jakoś opanować i tylko spojrzała na lekarza z kokieteryjnym uśmiechem.

- Naprawdę przepraszam, doktorze. To takie lekkomyślne z mojej strony, ale wypadek córeczki kompletnie wytrącił mnie z równowagi. No i spóźniłam się przez to na spotkanie...

Nie czekając, aż skończy, Mike uprzejmie skinął głową i odwróciwszy się, zniknął za drzwiami jednego z gabinetów.

Lindy z największą przyjemnością popatrzyła na zaskoczoną twarz nieznośnej kobiety, po czym, krztusząc się ze śmiechu, starła z tablicy nazwisko Mirandy. Stwierdziła, że w pewnym sensie doktor Corrigan przypomina Janet Lessiter, tylko że posiada zdecydowanie więcej osobistego uroku.

Wyjęła z segregatora kartę kolejnego pacjenta, zapisała jego dane na tablicy i udała się do poczekalni, w której, jak co dzień, znudzeni oczekiwaniem na swoją kolej pacjenci siedzieli na ustawionych wzdłuż ścian krzesłach. Gdzieś w kącie płakało małe dziecko, a grupka przekrzykujących się wzajemnie młodych ludzi skupiła się przed grającym tu na okrągło ogromnym telewizorem. Lindy przyjrzała się im uważnie, po czym podeszła do rejestratorki.

- Uważaj na nich, a w przypadku jakichkolwiek kłopotów od razu wołaj ochronę - szepnęła, po czym głośno wywołała nazwisko następnego pacjenta.

- Albert Simpson, proszę.

Postawny, niezbyt już młody mężczyzna precyzyjnie przycisnął się w jej kierunku, nie odrywając od oka chusteczki.

- Bardzo mnie boli - powiedział ochryplym głosem. - Rąbałem drewno i nagle poczułem się tak, jakby cała gałąź spadła mi na głowę. Wydawało mi się, że coś uderzyło mnie prosto w oko z siłą pocisku.

- Proszę ze mną. - Lindy z uśmiechem wskazała pacjentowi drogę. - Zaraz postaramy się panu pomóc.

Kiedy znaleźli się w pomieszczeniu zabiegowym, podała mężczyźnie krzesło.

- Obejrzę panu teraz oko pod oftalmoskopem. Jeśli uznam, że sama sobie nie poradzę, zawołam chirurga okulistę.

Na szczęście tkwiąca pod powieką drzazga była doskonale widoczna i Lindy usunęła ją w kilka sekund, po czym przemyła oko delikatnym środkiem odkażającym.

- Dzięki Bogu, nie widzę nawet zadrapania. Miał pan szczęście, ale proszę na przyszłość zakładać okulary ochronne, dobrze?

Pan Simpson zamrugał niepewnie, a po chwili rozchylił usta w szerokim uśmiechu.

- Dziękuję, siostrze. Dokonała pani cudu. Myślałem, że wypłynie mi oko.

Nagły hałas dobiegający od strony poczekalni sprawił, że oboje zerwali się na równe nogi.

- Proszę tu chwilę poczekać - poleciła Lindy i pobięła sprawdzić, co się dzieje.

Sprzeczk między zniecierpliwionymi pacjentami zdarzały się w poczekalni dość często, ale mało kiedy miały miejsce przed południem, i to w dodatku w poniedziałek. Tymczasem dzisiaj, w przejściu obok rejestracji, szarpało się dwóch młodzieńców z ogolonymi na łyso głowami, podczas gdy reszta nastolatków głośno podjudzała ich do walki.

- Cholera! - zaklęła Lindy pod nosem, szukając wzrokiem Jacka Hulse'a, rosłego, choć nieco powolnego salowego, który zazwyczaj interweniował w podobnych sytuacjach.

Niestety, w tej chwili nie było go na miejscu. Nie mając wyjścia, Lindy nacisnęła dzwonek alarmowy i szybkim krokiem podeszła do tłukących się wyrostków.

- Natychmiast z powrotem na miejsca! - krzyknęła. - Nikt się wami nie zajmie, jak nie będziecie siedzieć spokojnie.

Stała obok chłopaków z założonymi rękami i na pozór obojętną miną, gdyż z doświadczenia wiedziała, że opanowana postawa personelu najskuteczniej rozładowuje agresję. Rzeczywiście, młodzieńcy spojrzeli na nią pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu wzrokiem, po czym, klnąc szpetnie, z ociąganiem wrócili na miejsca.

Sheila, która właśnie pojawiła się w rejestracji, spojrzała na umazaną krwią podłogę, po czym zmierzyła wciąż jeszcze bluźniących i przepychających się młodzieńców srogim wzrokiem.

- Znowu to samo. Idziemy interweniować? - Awantury na oddziale miały ostatnio miejsce tak często, że pielęgniarka nie okazała żadnego zdziwienia na widok rozrabiających wyrostków. Lindy pokręciła głową.

- Nie, może nieco ochłoną. Zaraz powinna się pojawić ochrona.

Nagle jeden z chłopaków zepchnął przeciwnika na podłogę i z furią zaczął kopać go w głowę ciężkimi, skórzanymi buciorami. Lindy odruchowo rzuciła się do przodu i chwyciła rosnącego napastnika za kołnierz, uwieszając się na nim jak psiak.

- Przestań! - wrzasnęła, tym razem bez skutku.

Próbując zepchnąć ją z pleców, chłopak zahaczył jednym z tkwiących mu na palcach sygnetów o ramię pielęgniarki i zadrapał jej skórę do krwi. Lindy zatoczyła się i upadła plecami na ścianę.

W ogólnym zamieszaniu nagle rozległ się donośny, stanowczy głos.

- Co tu się dzieje, do cholery?

Mike Corrigan, który właśnie wyrósł w rejestracji jak spod ziemi, bez trudu obezwładnił napastnika i wykręciwszy mu ręce na plecach, przycisnął go twarzą do ziemi.

- I co? Jesteś z siebie dumny? Taki jesteś silny, że udało ci się przewrócić pielęgniarkę! Czy ktoś może podać mi taśmę klejącą?

- Puść mnie, sukinsynu! Podam cię do sądu za pobicie.

- Na razie, przyjacielu, potraktowałem cię bardzo łagodnie - rzekł Mike spokojnie, unieruchamiając mu taśmą ręce w nadgarstkach. - Poczekaj, aż się naprawdę zdenerwuję.

Lindy odetchnęła z ulgą, choć serce waliło jej jak oszałałe. Gdyby nie Mike, mogłoby dojść do naprawdę poważnej awantury. Martwiło ją, że podobne sytuacje mają miejsce w szpitalu coraz częściej, a ochrona pojawia się zdecydowanie za późno. Spojrzała na kamerę zawieszoną pod sufitem. Miała nadzieję, że cały przebieg zdarzenia został zarejestrowany na kasecie. Będzie to miało duże znaczenie, kiedy chuligani zostaną postawieni przed sądem.

- Szkoda, że się wzajemnie nie pozabijali - mruknął Mike, otrzepując białą, lekarską marynarkę. - Skąd tu tyle krwi? Ci dwaj to pacjenci?

Sheila pochyliła się i obejrzała głowę jęczącego na podłodze wyrostka.

- Nic mu nie będzie.

- Szkoda - rzekł Mike z przekąsem.

- Kolczyk rozerwał mu małżowinę uszną, dlatego tak krwawi. Zaraz to uprzątnę. Czekali tutaj na jakiegoś kumpla, który trafił do nas w nocy. I jeśli się nie mylę, nie wytrzeźwieli jeszcze po weekendowych hulankach. Chyba należą do dwóch rywalizujących gangów.

- Całkiem jak w Nowym Jorku.

W końcu pojawiło się dwóch ochroniarzy, którzy założywszy łobuzom kajdanki na ręce, wyprowadzili ich do pomieszczeń biurowych, gdzie mieli poczekać na przybycie policji. Mike tymczasem podszedł do Lindy, która nadal siedziała na podłodze, masując dłonią obolały łokieć.

- Nie ucierpiałaś za bardzo?

- Ja sama nie, raczej moja godność. Usiłowałam tylko nie dopuścić, żeby mózg tego drugiego wylał się tu na podłogę.

- O to chyba nie musiałaś się obawiać - zaśmiał się Mike.
- Tym typom nie została już żadna szara komórka. Lepiej było ich zostawić, żeby się pozabijali, niż się narażać - powiedział, pomagając jej wstać.

Podniósł ją z podłogi tak, jakby była lekka jak piórko. Wbrew samej sobie pomyślała, że byłoby miło znaleźć się w ramionach tak mocnego mężczyzny, i od razu szybciej zabiło jej serce. Lecz zaraz potem przeszedł ją zimny dreszcz, a w głowie zadzwonił alarmowy dzwonek. Bolesne doświadczenia ostatnich miesięcy czegoś ją przecież nauczyły.

- Dzięki, ale nic mi nie jest - zapewniła, cofając się o krok. - Muszę tylko opatrzeć sobie to zadrapanie.

Mike wziął ją za rękę i obejrzał skaleczenie. Po wewnętrznej stronie przedramienia, tuż obok świeżej rany, widniała stara blizna biegnąca od łokcia po nadgarstek.

- Ta ręka ma chyba pecha - zauważył. - Czyżby rozdzielanie rzezimieszków leżało w twoim zwyczaju? To musiało być całkiem poważne skaleczenie. - Przyglądał się bliźnie ze zmarszczonymi brwiami, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

Lindy wyszarpnęła rękę z jego dłoni. Blizna pochodziła z tego okresu jej życia, o którym nie lubiła rozmawiać, a już na pewno nie zamierzała niczego wyjaśniać obcemu mężczyźnie. Kierowała się zasadą, że im mniej ktoś wie na jej temat, tym mniejszą może mieć nad nią władzę.

- To pamiątka z dzieciństwa - powiedziała. - A teraz, jeśli pozwolisz, przemyję sobie skaleczenie i wrócę do pracy.

Odwróciła się i pomaszerowała przed siebie, czując dziwne ściskanie w żołądku. Od rana wiedziała, że czeka ją ciężki dzień, a pojawienie się Mike'a Corriganana jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi.

Oczywiście, westchnęła, doktor Corrigan nie może wiedzieć, że właśnie dziś miał odbyć się jej ślub. Spojrzała na zegarek. Dokładnie o tej porze powinna sunąć w białej sukni do ołtarza.

ROZDZIAŁ DRUGI

Janet Lessiter ogarnęła zebranych pod tablicą lekarzy i pielęgniarki nieprzyjaznym spojrzeniem. Była niską, tęgą kobietą i patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, że obcisły, szpitalny uniform zaraz pęknie w szwach.

- Właśnie dowiedziałam się w kadrach, że jeśli chodzi o pielęgniarki, nie możemy liczyć na żadne zastępstwo, mimo że trzy osoby z naszego zespołu znajdują się na zwolnieniu chorobowym. Oznacza to, że będziemy mieli tu istne urwanie głowy, ale nie pozostaje nam nic innego, tylko robić wszystko, co w naszej mocy - obwieściła, kierując gniewny wzrok na Ray a Huntera, który właśnie szeptał coś do ucha Verity Marshall. - Ray i Lindy ułożą jak najszybciej nowy grafik. Niewykluczone, że niektórzy z nas będą musieli pracować na dwóch zmianach. Aha, byłabym wdzięczna, żebyście ograniczyli do minimum przerwy na kawę i...

Wywód pani ordynator przerwany został przez nagłe pojawienie się w drzwiach znajomej, rosłej sylwetki. Mike, ubrany jak co dzień w skórzaną kurtkę, szedł w ich stronę. W jego błękitnych oczach lśniły wesołe ogniki. Lindy od razu poczuła przyspieszone bicie serca, co mocno ją zaniepokoiło, szczególnie że od tygodnia już reagowała w ten sposób na każde spotkanie z Mikiem. A przecież jego pewność siebie, granicząca wręcz z zadufaniem, powinna ją do niego zniechęcić. Dobrze wiedziała, że ludzi tego pokroju zazwyczaj cechuje obojętność wobec innych osób.

Mimo to jej początkowa determinacja, by ograniczyć znajomość z Mikiem do czysto zawodowych kontaktów, słabła z każdym dniem. Coraz częściej przyłapywała się na tym, że szuka go wzrokiem, a w jego obecności, podobnie zresztą jak Sheila, Carrie i Verity, natychmiast prostuje plecy i wciąga brzuch. Próbowwała tłumaczyć to sobie faktem, że

pozostali mężczyźni pracujący na oddziale wyglądają zdecydowanie mniej pociągająco.

Janet spojrzała wymownie na zegarek.

- Właśnie mówiłam, doktorze Corrigan, że nie możemy pozwolić sobie na spóźnienia, gdyż kilku pracowników jest na zwolnieniu.

Oparłszy się niedbale o biurko, Mike uśmiechnął się do szefowej rozbrajająco.

- Przepraszam wszystkich, ale w tym cholernym diabelstwie zapchał się gaźnik i nie mogłem ruszyć. Ale - zatarł ręce - już jestem gotów do pracy.

Lindy zachichotała na widok oniemiałej z wrażenia twarzy pani ordynator. Podwładni z reguły truchleli, kiedy jej się czymś narazili, a tymczasem Mike patrzył jej prosto w oczy z czarującym uśmiechem.

Jednak zanim Janet zdążyła wybuchnąć gniewem, tuż za plecami Lindy rozległ się dzwonek telefonu, którego numer zarezerwowany był dla najpoważniejszych przypadków.

- Szpital Świętego Łukasza, oddział nagłych wypadków. Siostra Jenkins przy telefonie - przedstawiła się Lindy, przyłożywszy słuchawkę do ucha. - Tak, rozumiem. Ciężko ranny mężczyzna. Klatka piersiowa zgnieciona przez spadający gruz na budowie. Ciśnienie niskie i spada dalej. Trzech lżej rannych z potłuczeniami i otarciami naskórka. Możliwe pęknięcie kości przedramienia. Dojedziecie za siedem minut.

Odłożyła słuchawkę i podniosła wzrok na przełożoną, która natychmiast przedstawiła plan działania.

- Jesteśmy gotowi. Mike, szybko pozbądź się tego śmiesznego stroju, włóżcie z Lindy sterylne fartuchy i przejmijcie pacjenta z uszkodzoną klatką piersiową. Ray, Verity i ja zajmujemy się pozostałą trójką. Zawiadomię doktora Gordona z chirurgii, żeby przygotował zespół do operacji.

Sheila, przygotuj gabinet zabiegowy na przyjęcie pacjenta i sprawdź, czy możemy zwolnić któreś z łóżek.

Nagle wszyscy zaczęli uwijać się jak w ukropie, przygotowując sprzęt do przyjęcia pacjentów. Po chwili z zewnątrz dobiegła syrena karetki pogotowia i sanitariusze wwieźli rannego.

- Nazywa się Alfred Talbot. Wiek około czterdziestu lat. Ciśnienie osiemdziesiąt na czterdzieści i stale spada. Puls przyspieszony, sto dwadzieścia pięć uderzeń na minutę. Intubacja nie przyniosła poprawy - poinformował Lindy jeden z sanitariuszy.

Chory został natychmiast przewieziony do gabinetu zabiegowego. Jego ciałem raz po raz wstrząsały drgawki. Bawełniana podkoszulka i dżinsy ciasno opinały mu tłusty brzuch. Lindy rozcięła ubranie i odsłoniła klatkę piersiową, do której Mike natychmiast przystawił stetoskop, podczas gdy Sheila zakładała na ramię chorego rękaw aparatu do stałego pomiaru ciśnienia krwi.

- Pobierzcie krew na krzyżówkę i zamówcie co najmniej sześć jednostek - zlecił Mike. - Ma jakiś potężny krwotok wewnętrzny, może z przebitego płuca albo wątroby. Podajcie mu szybko haemaccel w kroplówce, a ja spróbuję ustalić, co się dzieje. Jakie jest ciśnienie?

- Skurczowe spadło z osiemdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu, rozkurczowe czterdzieści.

- Jak najszybciej podłączcie wlew z podgrzewaczem, bo pacjent zaczyna sinieć.

Kiedy Lindy ustawiała kroplówkę, Mike, utkwivszy wzrok w ścianie, ostrożnie ugniatał palcami mostek i brzuch pacjenta, starając się odkryć źródło krwawienia. Nagle podniósł głowę i uśmiechnął się lekko z satysfakcją.

- Bingo! - zawołał. - To odma opłucnowa. Musimy zdrenować mu klatkę piersiową, żeby ustabilizować go przed zabiegiem. Podejrzewam, że złamane żebro przebiło płuco.

Lindy i Sheila wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Obie wiedziały, że lada moment stan pacjenta może wejść w fazę krytyczną. Powietrze i krew zbierające się pod opłucną coraz silniej uciskały serce.

- Przemyj mu skórę na piersiach, a ja tymczasem podam mu lignokainę - polecił Mike, naciągając lateksowe rękawiczki.

Lindy przysunęła wózek z narzędziami i razem z Sheila otoczyły pole operacyjne sterylnymi serwetami.

- Świetnie. Teraz poproszę o skalpel. - Mike naznaczył palcem wskazującym lewej ręki miejsce, które zamierzał naciąć, po czym zanurzył skalpel w ciele pacjenta.

- Poproszę dren z zaciskiem - powiedział, zatykając ranę palcem.

Wprowadził jeden koniec plastikowej rurki w miejsce nacięcia, a drugi umieścił w pojemniku napełnionym do połowy sterylnym płynem.

- Trzymajcie kciuki, dziewczyny - uśmiechnął się do pielęgniarek i zwolnił zacisk.

Powietrze uwięzione w klatce piersiowej pacjenta wydostało się z sykiem do pojemnika, po czym przez rurkę popłynęła krew.

- No, panie Talbot, udało się. Jak ciśnienie?

- Lepiej, sto na sześćdziesiąt. Mike ściągnął z dłoni rękawiczki.

- Jest na tyle stabilny, że można go zabrać na chirurgię.

- I jak tam? Jakież kłopoty? - Janet właśnie weszła do gabinetu i przyjrzała się choremu z uwagą. - Chirurg zaraz tu będzie. Co to było? Odma?

Mike skinął głową.

- Chwilowo opanowaliśmy sytuację, ale trzeba go zawieźć na blok, żeby zlikwidować przyczynę krwawienia. Pan Talbot na swoje szczęście ma trochę nadwagi. Warstwa tłuszczu nieco zamortyzowała uderzenie i ochroniła narządy wewnętrzne przed poważniejszymi obrażeniami. - Popatrzył przewrotnie na stojące obok kobiety.

- Pamiętajcie, żeby się nigdy nie odchudzać. Odrobina ciała może czasem uratować wam życie.

- Skoro tak - odezwała się Janet - to przynajmniej ja jestem bezpieczna.

W kieszeni jej fartucha właśnie zadzwonił pager, więc szybko wyszła z gabinetu, pozostawiając pielęgniarki w kompletnym osłupieniu. Jeszcze nigdy nie słyszały, by Janet Lessiter żartowała z własnego wyglądu.

Mike wyprostował się i rozmasował ręką kark, który zeszywniał mu nieco w czasie dwudziestu minut, jakie spędził pochylony nad chorym.

- Marzę o filiżance kawy. Nastawicie wodę?

Tym razem Lindy nie miała oporów. Jego opanowanie i fachowość, z jaką potraktował ciężko chorego pacjenta, zaimponowały jej na tyle, że uznała, iż w pełni zasłużył na kawę.

W czasie gdy Mike wypełniał kartę pacjenta, Lindy i Sheila zebrały zużyte serwety chirurgiczne i wyrzuciły je do kosza.

- Świetna robota - odezwał się po chwili, podnosząc się z miejsca.

Podszedł do Lindy i odgarnął jej z czoła kilka niesfornych kosmyków. Patrzył jej prosto w oczy w taki sposób, jakby łączyło ich coś więcej niż zawodowa współpraca, a jego twarz znalazła się tak niebezpiecznie blisko jej twarzy, że raptem wyobraziła sobie smak jego pocałunku.

- Słucham? - Szybko odwróciła wzrok.

Nie rozumiała, dlaczego w tak nedorzeczny sposób reaguje na jego obecność. Przecież raz już dała się zwieść urokowi przystojnego mężczyzny i srogo za to zapłaciła. Na pewno nie powtórzy starego błędu.

- Mówię, że stworzyliśmy doskonały zespół.

- Ach, tak. Rzeczywiście - zgodziła się jakby od niechcienia i skupiła uwagę na poprawianiu kroplówki pacjenta.

Na szczęście w drzwiach ukazała się głowa Carrie.

- W rejestracji czeka żona pana Talbota. Jest bardzo zdenerwowana. Chciałaby porozmawiać z lekarzem i zobaczyć męża. Mogę ją tu przyprowadzić?

Lindy porozumiała się wzrokiem z Mikiem, po czym skinęła głową.

- Oczywiście, tylko trochę tu wszystko uładzę. Pochyliła się nad chorym, zadowolona, że może zająć się pracą i przestać zawracać sobie głowę przystojnym doktorem.

Alfred Talbot otworzył oczy i niezbyt przytomnie rozejrzał się dookoła.

- Proszę się nie obawiać, wszystko będzie dobrze. Jest pan w szpitalu i czeka pan teraz na operację. Miał pan wypadek w pracy.

Widząc, że pacjent próbuje coś powiedzieć, Lindy uściśniła mu dłoń.

- Jest tu żona. Zaraz przyjdzie się z panem zobaczyć.

Mike właśnie wprowadził do gabinetu drobną, przestraszoną kobietę, ściskającą nerwowo wielkich rozmiarów torebkę. Na widok skomplikowanej aparatury, krwi spływającej przez dren, kroplówki i maski tlenowej na twarzy męża, pani Talbot z przerażenia zakryła usta chusteczką.

Mike objął ją i uśmiechnął się pocieszająco.

- To tylko tak groźnie wygląda - wyjaśnił. - Przed operacją musieliśmy mężowi odsączyć krew, która zebrała się w klatce piersiowej. Teraz jego stan jest stabilny i zaraz zostanie przewieziony na blok.

Pani Talbot przełknęła ślinę, nieśmiało podeszła do męża i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wyzdrowiejesz, Alf. Nie bój się. Sama nie wiem... - Spojrzała bezradnie na pielęgniarkę. - Dlaczego on się w ogóle nie rusza?

- Pani mąż uległ poważnemu wypadkowi. Ale mogło być o wiele gorzej, więc proszę się tak bardzo nie martwić. Zaraz będzie miał zabieg, a ja tymczasem przyniosę pani herbatę. Coś gorącego dobrze pani robi - powiedziała Lindy i ująwszy kobietę za łokieć, wyprowadziła ją z gabinetu.

- Udało ci się ją trochę uspokoić? - zapytał Mike znad filiżanki kawy, kiedy Lindy weszła do małej kuchenki.

- Owszem. Biedna kobieta. Wiesz, że kiedy przyjechali policjanci, żeby poinformować ją o wypadku, dopiero co wróciła do domu z naszego szpitala? Odwiedzała tu ojca po operacji stawu biodrowego.

- To faktycznie pech. Ale przynajmniej będzie teraz mogła odwiedzać ich obu jednocześnie. - Mike zamyślił się. - Zresztą, mogło być znacznie gorzej. Gdyby przywieźli go kilka minut później, w ogóle nie musiałyby odwiedzać już męża...

Lindy nie odpowiedziała, tylko naląła sobie kawy do kubka. Mike przyglądał się jej uważnie.

- Co cię skłoniło do tego, żeby zostać pielęgniarką? - zapytał w końcu. - Zawsze chciałaś opiekować się chorymi ludźmi?

- Chyba tak. - Spojrzała nerwowo w kierunku drzwi z nadzieją, że zaraz ktoś wejdzie. Przebywanie sam na sam z Mikiem Corriganem zaczynało ją coraz bardziej męczyć.

- I co? Nie żałujesz?

- Skąd. Kocham tę pracę i ten szpital. Tylko boję się, że mogą go zamknąć. Pewnie już słyszałeś pogłoski, że mają postawić za miastem nowy szpital, a nasz zlikwidować. Szkoda by było, bo dobrze się tu pracuje. Może tylko godziny pracy nie są zbyt dogodne.

Mike pokiwał ze zrozumieniem głową.

- To prawda, szczególnie kiedy się ma rodzinę. - Na chwilę zawiesił głos, po czym zapytał prosto z mostu: - A ty masz męża i dzieci?

- Nie. - Roześmiała się, próbując nie okazać zmieszania.

- Przepraszam. - Najwyraźniej zauważył, że trafił w jej słaby punkt. - Nie chciałem wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Zaczerwieniła się i odruchowo roztarta dłonią starą bliznę, co zwykła czynić, ilekroć czuła się naprawdę zakłopotana. Dlaczego tak dziwnie reaguje na obecność Michaela Corrigan? Przecież to nie jego wina, że Jake aż tak bardzo ją zawiódł.

Mike podniósł się z fotela i umył kubek.

- I tak musisz być bardzo zajęta - zauważył z przekornym uśmiechem. - Taka dziewczyna jak ty z pewnością prowadzi bujne życie towarzyskie.

Lindy odgarnęła włosy z czoła.

- Rzeczywiście, nie mam ani chwili wytchnienia - zaśmiała się. - A ty? Masz jakieś zobowiązania?

- Oczywiście. Dlatego świetnie rozumiem, co to znaczy móc wcześniej wyjść z pracy. Dobrze wiem, jak to jest. Słowa Mike'a zdecydowanie rozbudziły jej ciekawość.

Co miał na myśli, mówiąc o zobowiązaniach? Wymagającą żonę i czwórkę dzieci, czy może starzejących się rodziców?

- To znaczy, że jesteś szczęśliwym mężem i ojcem?

- Skąd! - odrzekł ze śmiechem. - Jestem do wzięcia. Ale obawiam się, że przynajmniej na razie obciążony jestem takim bagażem, że żadna kobieta nie zechciałaby się ze mną związać. Dlatego tak polubiłem tę pracę. Dzięki niej mogłem oderwać się od własnych problemów, no i poznać wspaniałych ludzi.

Popatrzył na Lindy tak wymownie, że oblała się rumieńcem i szybko odwróciła wzrok.

- Lepiej już wróć do pracy - powiedziała, zerkając na zegarek. - Janet się wścieknie, jeśli będę tu siedzieć zbyt długo.

- Janet jest w porządku. Czasem trochę przypomina rottweilera, ale daje się ułożyć - zażartował. - Poza tym sam nie wiem, jak sobie daje radę ze wszystkim. Ma na głowie pół szpitala, mało ludzi do pracy i do tego problemy z bratem.

- Z bratem? Nigdy o nim nie słyszałam - zdziwiła się Lindy.

- Jest ciężko upośledzony i mieszka razem z nią. Podobno ostatnio jego stan się pogorszył i Janet martwi się, jak zdoła zapewnić mu odpowiednią opiekę.

- Nie wiedziałam. - Starając się ukryć zawstydzenie, Lindy odwróciła się, by wstawić czyste kubki do szafki.

Nikom dotąd nie przyszło do głowy zainteresować się, czy Janet ma jakieś kłopoty. Tymczasem Mike, który jest tu dopiero od kilku dni, zdaje się wiedzieć więcej na jej temat niż jakikolwiek długoletni pracownik szpitala. Tyle że Mike posiada rzadki, ujmujący dar słuchania ludzi i pani ordynator zapewne łatwiej było mu się zwierzyć.

Właśnie miała wychodzić, kiedy w kuchence zadzwonił telefon. Mike szybko podniósł słuchawkę.

- Mamy dwulatka z poparzeniami na piersiach. Mógłbyś go obejrzeć? - To Janet dzwoniła z izby przyjęć.

Na twarzy Mike'a nagle pojawiło się napięcie.

- Nie znoszę poparzeń, szczególnie u dzieci - powiedział do Lindy. - Wolałbym, żeby przez cały dzień przywozili nam pacjentów z odmą.

Już na korytarzu prowadzącym do sali oparzeń usłyszeli głośny płacz. Lecz jak się okazało, to nie chłopczyk, tylko jego matka zanosila się szlochem. Miała przetłuszczone, matowe włosy, ubrana była w wyświechtane, postrzępione na nogawkach dzinsy i wyglądała na niespełna osiemnaście lat. Oboje, matka i dziecko, mieli brudny i niechlujny wygląd. Usta dziewczyny pokrywały liczne, przyschnięte pęcherzyki.

Carrie stała obok młodej matki, gładząc ją po wychudłym ramieniu.

- Chłopiec nazywa się Ben, a jego mama to Tessa Boardman - wyjaśniła.

- To nie moja wina - łkała dziewczyna. - Poszłam tylko na chwilkę do sąsiadki. Zaraz..

- Najpierw obejrzyjmy chłopca, a potem o wszystkim nam pani opowie. - Mike naciągnął sterylne rękawiczki.

Lindy opuściła nad stół do badania jasną lampę i oświetliła klatkę piersiową chłopca. Poparzenie było rozległe, na piersiach dziecka utworzyły się duże pęcherze, a niektóre z nich zdążyły już popękać, odsłaniając żywą, czerwoną tkankę.

- Poparzenia trzeciego stopnia - stwierdził Mike, obejrzawszy dokładnie rany. - No i mały przez cały czas jest w szoku. Pobierzcie krew do badania poziomu mocznika i elektrolitów i od razu podajcie mu płyny dożylnie. Zadzwońię po doktora Bourne'a, żeby to obejrzał, zanim założymy opatrunek.

Lindy szybko podłączyła kroplówkę i delikatnie pogładziła malucha po główce.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Zaraz cię opatrzymy i wszystko pięknie się zagoi.

Po chwili przy chorym pojawił się siwowłosy pediatra. Uważnie obejrzał obrażenia, nie przestając spokojnie gawędzić z maluchem.

- Podajcie mu dwa miligramy diamorfiny na uśmierzenie bólu - zalecił, po czym skierował spojrzenie na matkę chłopca.
- Pani synek musi pozostać przez kilka dni w szpitalu, żeby zminimalizować ryzyko infekcji - powiedział.

Zanim wyszedł, zatrzymał się jeszcze na moment przy Mike'u.

- Spotkajmy się za kilka minut, kiedy pan przeprowadzi dokładny wywiad, doktorze - poprosił po cichu.

- No to proszę opowiedzieć nam teraz, co się stało. - Mike przysiadł obok Tessy.

Dziewczyna przestała płakać, ale wciąż była mocno wystraszona.

- Nic mu nie było, jak wychodziłam - oznajmiła, jakby się broniąc. - Przecież nie mogę być w kilku miejscach jednocześnie. Musiał strącić ze stołu dzbanek z kawą.

Usta znowu wygięły się jej w podkówkę i łzy popłynęły po policzkach.

- Naprawdę nie chciałam. Zostawiłam go z butelką, tak jak wiele razy wcześniej. Zawsze siedzi i pije spokojnie aż do mojego powrotu. Ale dzisiaj pewnie się wdrapał na stół i oblał tą kawą.

Lindy wyjęła z szarki specjalny opatrunek na poparzenia, a następnie zbliżyła się do chłopca, próbując zwrócić jego uwagę na zawieszane przy suficie kolorowe zabawki.

- Spróbuj pokazać mi wszystkie zwierzątka, jakie uda ci się zauważyć - poprosiła łagodnie i najdelikatniej, jak umiała, ułożyła gazę na piersiach dziecka.

Tymczasem Mike wciąż pochłonięty był rozmową z Tessą.

- To na jak długo zostawiła pani synka bez opieki? Lindy nigdy dotąd nie słyszała takiego napięcia w jego głosie. Zdziwiła się, bo przypadek małego Bena nie był niczym nadzwyczajnym w ich szpitalu. Niedopatrzenia szczególnie często zdarzały się młodym, lekkomyślnym matkom, przez co dzieci trafiały na oddział z mniej lub bardziej poważnymi obrażeniami.

Nie miała powodu wątpić w słowa Tessy i podejrzewać ją o umyślne okaleczenie synka, szczególnie że, jak sprawdziła w szpitalnych dokumentach, maluch znalazł się tu po raz pierwszy.

- Przysięgam, że zostawiłam go samego tylko na minutę. Mówiłam już, że robiłam to wcześniej setki razy i nigdy nic się nie stało - tłumaczyła dziewczyna. - A poza tym kawa nie mogła być aż tak gorąca. Przecież dolałam do niej mleka.

- Tym gorzej. Tłuszcz zawarty w mleku znacznie dłużej utrzymuje temperaturę. - Ton głosu Mike'a świadczył o tym, że stopniowo odzyskuje równowagę. - Proszę mi teraz powiedzieć, gdzie pani mieszka.

Tessa znowu przyjęła obronną postawę.

- A co to ma do rzeczy? Mam mieszkanie, i tyle. Nie znoszę, jak obcy wtrącają się w moje sprawy.

- No dobrze...

Tessa lekko wzruszyła ramionami.

- Niech wam będzie. Mieszkamy w Dock's End - powiedziała z zawstydzeniem, jakby obawiała się, że lekarz zaraz wyciągnie z tego nieodpowiednie wnioski.

Jednak Mike tylko skinął głową, mimo że jak wszyscy wiedział, że Dock's End jest dzielnicą rozpadających się ruder, zamieszkaną przez degeneratów, alkoholików i nastolatków, którzy postanowili uciec z domu. Z pewnością nie jest miejscem dla młodej dziewczyny wychowującej dziecko.

Kiedy lekarz wypełniał kartę pacjenta, Lindy poprosiła Carrie, by zaprowadziła Tessę do poczekalni i poczęstowała ją herbatą.

- I spróbuj się przy okazji czegoś więcej o niej dowiedzieć - dodała po cichu. - Może uda nam się zainteresować jej sprawą nasz wydział socjalny. Trzeba jej jakoś pomóc.

Po wyjściu obu kobiet Mike pochylił się nad Benem i dokładnie obejrzał strupki, którymi usiana była twarz malucha.

- Coś mi się wydaje, że zarówno mama, jak i dzieciak złapali gdzieś liszajec - oświadczył, prostując plecy. - Nawet jeśli potraktuję go teraz antybiotykiem, rozwinie się na nowo, kiedy wrócą do domu. A w ogóle to jak można mieszkać w takich norach! Przecież mały nie ma tam żadnej szansy. - Jego głos znów był spięty i pełen goryczy.

- Na pewno nie będzie mu łatwo - zgodziła się Lindy. - Ale nie podejrzewasz chyba, że to oparzenie nie jest przypadkowe. Ona chyba rzeczywiście lekkomyślnie zostawiła synka na parę minut bez opieki.

- Pewnie masz rację - przyznał ze wzrokiem utkwionym w podłogę. - Tyle że nie mogę spokojnie patrzeć na kolejne zmarnowane życie. Po co ludzie w ogóle decydują się na dzieci, skoro nie potrafią ich wychować!

- Nie zapominaj, że matka Bena sama właściwie jest jeszcze dzieckiem. Pewnie zaszła w ciążę i związała z domu. Trzeba zgłosić jej przypadek do wydziału mieszkaniowego. Osoba w jej sytuacji powinna mieć pierwszeństwo w kolejce po mieszkanie z kwaterunku. Może dzisiejszy wypadek Bena obojgu im wyjdzie na dobre.

Mike uśmiechnął się z goryczą.

- Masz rację. Chyba byłem mało obiektywny, ale ta cała sytuacja za bardzo przypomina mi moje własne dzieciństwo - powiedział martwym głosem, wpatrując się w jakiś punkt na

ścianie. - Moja mama i siostra też uległy poparzeniu, kiedy ojciec po pijanemu wylał na nie czajnik wrzątku. Mama właściwie do końca życia nie doszła po tym do siebie.

Lindy zadrżała z wrażenia. Nic dziwnego, że Mike tak głęboko przeżywał przypadek małego Bena.

- To straszne.

- Zwykle udaje mi się zachować spokój, ale dzisiaj było to szczególnie trudne. Jednak powinienem bardziej panować nad emocjami. W końcu tamte wydarzenia miały miejsce wiele lat temu. - Poglaskał chłopczyka po głowie. - Cześć, młody człowieku. Mam nadzieję, że więcej do nas nie trafisz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lindy wydawało się, że nogi ma z waty. Od miesiący praktycznie nie uprawiała sportu i teraz zastanawiała się, czy częstoskurcz, jaki właśnie zaczęła odczuwać, jest zapowiedzią zawału. Musi być niespełna rozumu, skazując się na takie tortury. I to tylko dlatego, że dała się namówić Mike'owi na udział w pracach komitetu obrony szpitala.

Z trudem łapiąc oddech, oparła się plecami o pień rosnącego tuż przy ścieżce grubego dębu. Piękny wiosenny wieczór skłonił ją dziś do rozpoczęcia treningów przed biegiem przełajowym, który miał rozpocząć serię publicznych atrakcji, w czasie których członkowie komitetu zamierzali zbierać fundusze na ratowanie szpitala.

Z parkowego wzgórza, na którym właśnie się znalazła, widziała z daleka znajomą wiktoriańską bryłę wzniesionego z czerwonej cegły budynku. Pomyślała, że warto jest o niego walczyć. Od lat znakomicie służył lokalnej społeczności. Miał oddzielne skrzydło dla rekonwalescentów po ciężkich zabiegach i oddział rehabilitacji, gdzie starsi ludzie, często po wylewach, mogli liczyć na pomoc w odzyskiwaniu sprawności. A to, że był stary, tylko przemawiało na jego korzyść. Szpital Świętego Łukasza wpisał się w historię miasta, a dziedziniec pod starym zegarem umieszczonym pod zwieńczeniem dachu stanowił częste miejsce spotkań.

Z drugiej strony, Lindy nie bardzo wyobrażała sobie, jak znajdzie czas na działalność w komitecie. Praca w szpitalu i dbanie o domek, w którym mieszkała, oraz przyległy do niego ogródek, całkowicie wypełniały jej dni.

Mike oczywiście poprosił ją o współpracę w najmniej odpowiednim momencie, kiedy po ciężkim dyżurze była tak zmęczona, że z trudem przychodziło jej zebrać myśli.

- Mam do ciebie prośbę - zagadnął, widząc, że przysiadła na chwilę i przymknęła powieki. Pewnie nawet nie przyszło mu do głowy, że myślała właśnie o nim.

W ogóle ostatnio myśli Lindy coraz częściej płynęły w kierunku Mike'a, mimo że starała się je kierować na inne tory. Jednak ilekroć go widziała, odczuwała silny dreszcz, a początkowe postanowienie, by trzymać się od niego daleko, powoli słabło, bo musiała przyznać, że pojawienie się Mike'a w szpitalu dodało blasku jej życiu.

- Przepraszam, że cię obudziłem, ale właśnie rozmawialiśmy na temat przyszłości szpitala i wszyscy są zdania, że powinnaś się włączyć w prace komitetu.

- Tylko nie to! Absolutnie nie nadaję się na społecznicę. Nie będziecie mieli ze mnie żadnego pożytku.

- Nonsens. - Pochylił się nad nią tak nisko, że aż wstrzymała oddech, i spojrzał głęboko w jej oczy wzrokiem, któremu nie potrafiła się oprzeć.

- Ray i Verity mają za dużo rodzinnych obowiązków, ale ty przecież nie masz takich zobowiązań, więc dlaczego nie miałabyś pomóc? To nie będzie żadna ciężka praca. Musimy tylko zaproponować kilka dobrych pomysłów i zorganizować ze dwa spotkania. Dobrze wiem, jak zależy ci na tym szpitalu.

Lindy przyjrzała się mu podejrzliwie.

- Trudno mi uwierzyć, że to takie proste. A po pracy naprawdę nie mam ochoty na dyskusje na temat szpitala.

- Nie opowiadaj bzdur - rzekł głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Sama się przekonasz, że będzie bardzo przyjemnie. Wpisuję cię na listę.

- Ale...

- Żadnych ale. Jutro wieczorem odbędziemy pierwsze posiedzenie.

- A sam zapisałeś się do tego komitetu? - Lindy trudno było wyobrazić sobie Mike'a w charakterze społecznika.

- Oczywiście. Przecież trzeba zrobić wszystko, co możemy, żeby uratować szpital. Nie wystarczy po prostu chodzić i narzekać. Uważam, że jeśli autentycznie na czymś nam zależy, powinniśmy poświęcić się temu w stu procentach. Czyżbyś była innego zdania?

- Nie, masz rację - wymamrotała z ociąganiem i w końcu zgodziła się wziąć udział w pracach komitetu.

Pocieszała ją tylko myśl, że dzięki temu będzie miała okazję częściej widywać Michaela Corrigana.

Dziś w miejscowym pubie odbyło się pierwsze, lekko zakrapiane spotkanie, na którym postanowiono zorganizować ów nieszczęsny bieg przełajowy. A teraz czuła się tak, jakby miała zaraz wyzionąć ducha. Jeśli rzeczywiście ma wystartować w wyścigu, nie może ograniczyć treningu do kilku wypadów do parku.

- Cześć! Jak widzę, podchodzisz do sprawy bardzo poważnie! - zawołał ktoś za jej plecami.

Obejrzała się z przestachem. Niczego mniej sobie w tej chwili nie życzyła niż spotkania kogoś znajomego. Zziajana, z czerwoną, błyszczącą twarzą i mokrymi od potu włosami musiała prezentować się co najmniej nieciekawie. Aż jęknęła, kiedy w zbliżającej się postaci rozpoznała Mike'a. Biegł pod górę w jej kierunku lekkim, sprężystym krokiem, jak ktoś, kto trenuje biegi codziennie. W krótkich spodenkach, odsłaniających długie, doskonale umięśnione nogi, i koszulce naciągniętej na szerokie ramiona kipiał zdrowiem i niespożytą wręcz energią.

Lindy ze wszystkich sił starała się uregulować oddech, by Mike przypadkiem nie pomyślał, niewiele mijając się zresztą z prawdą, że zwykła spędzać wolny czas na kanapie. Całe szczęście, że zdecydowała się włożyć luźny dres, który całkiem nieźle tuszował mankamenty jej figury.

- Postanowiłam trochę pobiegać, żeby się odprężyć - powiedziała. - Lubię biegać po parku.

- Zwyczaj godny najwyższego podziwu - zauważył z wesołymi ognikami w oczach. - Zawsze tutaj biegasz?

- No, nie tylko tutaj - skłamała na wszelki wypadek.

- A teraz właśnie wracam do domu, żeby wziąć prysznic.

- W takim razie możemy pobiec razem - zaproponował, wpędzając ją w popłoch. - A potem chyba należy nam się porządny drink i coś do zjedzenia. Co ty na to?

Struchlała. Przecież obiecywała sobie, że wiele czasu upłynie, zanim umówi się z jakimkolwiek mężczyzną. Co prawda propozycja Michaela zabrzmiała najnaturalniej pod słońcem, ale nadal nie była pewna, czy ma dość odwagi, żeby spędzić wieczór w męskim towarzystwie.

- Nie dzisiaj. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia - powiedziała. Na przykład, dodała w duchu, wymoczyć się w wannie po ostatnich fizycznych torturach, a potem wypić kilka kieliszków chłodnego wina.

- W takim razie może jutro. O ile pamiętam, oboje pracujemy na dzienną zmianę.

- Niech będzie.

Mike biegł w takim tempie, że Lindy ledwie mogła za nim nadążyć, a podtrzymywanie rozmowy przychodziło jej z wielkim trudem. Właśnie dlatego, by nie wdawać się w dalsze dyskusje, przyjęła propozycję, zwłaszcza że dobrze wiedziała, iż Michael nie należy do ludzi, którzy się łatwo poddają.

Kiedy dotarli do bramy parku, okazało się ku uciesze Lindy, że dalej pobiegną w przeciwnych kierunkach.

- Jutro podasz mi adres. Wpadnę po ciebie po siódmej - zawołał na odchodnym.

Piątkowa noc najwyraźniej nie należała do łatwych. Liczne wózki i nosze utrudniały przejście do poszczególnych

pomieszczeń dla pacjentów i gabinetów zabiegowych, a dwie ogromne butle tlenowe praktycznie blokowały wejście.

Lindy z westchnieniem zaczęła się rozglądać za Jackiem Hulse'em, który już dawno powinien to wszystko uprzątnąć. Pewnie jak zwykle wyszedł na papierosa i wdał się w pogawędkę z kierowcami z pogotowia.

Tymczasem Lindy miała dzisiaj ważniejsze sprawy na głowie niż uganianie się za opieszałym salowym. Przede wszystkim musiała zdecydować, jak się ubierze na wieczorne spotkanie z Mikiem. Ilekroć myślała o czekającej ją wieczorem kolacji, zaczynała odczuwać dziwną suchość w gardle. W końcu nie tak dawno przy podobnej okazji całe jej życie nagle legło w gruzach i dlatego bała się każdego spotkania z jakimkolwiek, choćby nie wiadomo jak przystojnym mężczyzną.

Tłumaczyła sobie w duchu, że robi z igły widły. Przecież Mike zaproponował jej jedynie kolację. Spędzą wspólnie miły wieczór, może nawet nawiążą przyjaźń, i to wszystko!

Ustawiła wózki na miejscach, zadzwoniła do pralni, by przysłali kogoś po brudną bieliznę, po czym udała się na poszukiwanie salowego. Aż jęknęła na widok pani ordynator sunącej z groźną miną szpitalnym korytarzem.

- Siostrzyczko Jenkins, co się tu dzieje? Jakim cudem miałyby się tędy przecisnąć nosze? Przecież wiecie, że pod żadnym pozorem nie wolno blokować przejścia.

- Wiem, właśnie szukam Jacka, żeby usunął te butle. Sama sobie z nimi nie poradzę.

- Lepiej znajdź go natychmiast - warknęła Janet.

Lindy uznała, że utarczka z panią ordynator już z samego rana nie wróży niczego dobrego na resztę dnia. Do tego poczuła, że zaczyna boleć ją głowa.

Wreszcie odszukała Jacka i nakłoniła go do wyniesienia nieszczęsnych butli, a w chwilę później natknęła się na Carrie, która wyraźnie odetchnęła na jej widok.

- Chodź szybko. Ray jest z tą małą dziewczynką, Mirandą Fyles - Smith, która w zeszłym tygodniu była u nas ze złamaną ręką.

- Pamiętam. Ma doprawdy przemiłą mamusię. Ale co się stało? Jakież problemy z gipsem?

- Nie. Ma okropny atak astmy.

- To dziwne. - Lindy zmarszczyła brwi. - Nie przypominam sobie, żeby jej matka o tym wspominała.

Ray czekał przy dziecku z charakterystycznym dla siebie, zaaferowanym wyrazem twarzy.

- Mike zaraz przyjdzie - oznajmił - ale byłbym wdzięczny, gdybyś tymczasem zajęła się tą małą, bo właśnie zacząłem jednemu dzieciakowi usuwać haczyk z języka. Stał za ojcem, kiedy ten zarzucał wędkę...

- Nie martw się, Ray, już do niej idę. To jasne, że nie możesz być w kilku miejscach jednocześnie.

Lindy weszła do pomieszczenia, gdzie mała pacjentka siedziała wsparta wysoko na łóżku i zsiniałymi ustami co kilka sekund z trudem łapała powietrze. Jej matka tym razem wyglądała zupełnie inaczej niż kilka dni wcześniej. Z trudem powstrzymywała się od płaczu, a po starannej fryzurze i makijażu nie pozostał nawet ślad.

- Zróbcie coś! - błagała. - Męczy się tak całą noc. Jeszcze nigdy nie była tak chora. Myślałam, że udaje, żeby nie iść do szkoły, ale... - Głos się jej załamał.

Mała Miranda spojrzała na matkę z przestraszeniem. Histeryczne zachowanie kobiety tylko pogarszało jej stan.

- Proszę się uspokoić. Bardzo dobrze pani zrobiła, przywożąc córkę do szpitala. - Lindy poprawiła małej poduszkę pod plecami, żeby łatwiej jej było zachować

siedzącą pozycję. - Zaraz jej coś podamy, żeby mogła normalnie oddychać. Pani też od razu poczuje się lepiej.

Właśnie zakładała oksymetr na nadgarstek dziewczynki, kiedy do pomieszczenia wkroczył roześmiany Mike.

- Jak widzę, słuch mnie nie myli. Toż to ta sama młoda dama! Podobno jakieś grzechotki dostały ci się do płuc. To prawda?

To niesamowite, jak odpowiednie nastawienie lekarza może wpłynąć na psychikę dziecka... i pielęgniarki, pomyślała Lindy i spojrzała z wdzięcznością na Mike'a, który przysiadł na łóżku Mirandy i uśmiechnął się do niej serdecznie.

- Mamy tu taki lek, który potrafi zdziałać cuda. Obiecuję - przeniósł spojrzenie na panią Fyles - Smith - że już niedługo córka poczuje się całkiem dobrze. Siostró, jaki jest poziom tlenu we krwi?

- Tylko dziewięćdziesiąt trzy procent - poinformowała Lindy po cichu, po czym zdjęła ze ściany przy łóżku maskę inhalatora i pokazała ją dziewczynce.

- Popatrz, mamy tu taką maszynę, która produkuje magiczne bąbelki. Dzięki nim zaraz zaczniesz normalnie oddychać. Chcesz zobaczyć, jak to działa?

Mike włączył aparaturę. Płyn w pojemniku z salbutamolem zaczął natychmiast bulgotać, przykuwając uwagę Mirandy. Lindy wykorzystała ten moment, by nasunąć dziecku maskę na twarz.

- Zakładamy ją tylko naprawdę wyjątkowym pacjentom - oświadczył Mike i popatrzył znacząco na Lindy, która natychmiast zorientowała się, co ma robić. Wyjęła z szafki pluszowego misia i małą strzykawkę.

- Miś też ma dziś trudności z oddychaniem - powiedziała. - Ale zobaczysz, że jak zrobię mu zastrzyk, od razu poczuje się lepiej.

Wbiła igłę w pluszowe futerko i dyskretnie pchnęła palcem zwierzątko, tak że natychmiast usiadło jej na dłoni. Miranda zachichotała i wyciągnęła rękę po zabawkę.

- A teraz twoja kolej. - Mike zręcznie założył dziewczynce wenflon. - Podaj jej sto miligramów hydrokortyzonu - polecił pielęgniарce.

Pani Fyles - Smith patrzyła jak urzeczona, jak jej córce różowieją poblądłe policzki, a oddech stopniowo się wyrównuje.

- To cud! Taka poprawa w kilka minut. Dziękuję - szepnęła z autentyczną wdzięcznością. Być może nagła choroba Mirandy uprzytomniła jej, jak bardzo kocha córkę.

- Zatrzymamy małą na dzień lub dwa, żeby przeprowadzić testy alergiczne. Trzeba ustalić, co wywołało ten atak. Zaraz zadzwonię na pediatrię, żeby przygotowali łóżko - oznajmił Mike. - A teraz proszę mi powiedzieć, czy w ostatnich dniach Mirandzie nie przytrafiło się nic szczególnego?

Kobieta pokręciła głową.

- Niczego sobie nie przypominam. Dwa czy trzy dni temu mówiła, że się źle czuje, i nie chciała iść do szkoły. Obawiam się, że nie zwróciłam na to większej uwagi

- westchnęła zawstydzona. - Nie miała gorączki, a że nie przepada za szkołą, pomyślałam, że to kolejna wymówka.

- Pani Fyles - Smith wyglądała tak, jakby się zaraz miała rozpłakać.

- Może poszłaby pani napić się herbaty? - zapytała Lindy w nagłym przypiływie współczucia. - Powinna pani odetchnąć.

Matka dziewczynki skinęła głową i wyjęła z torebki puderniczkę. Drżącą ręką podniosła do twarzy lusterko.

- Boże, jak ja wyglądam! - jęknęła. - Zajrzę na chwilę do łazienki, a potem wyskoczę na papierosa. Kochanie, zostaniesz chwilkę z siostrą?

Po wyjściu matki Miranda spojrzała na Lindy.

- To znaczy, że przez jakiś czas nie będę chodziła do szkoły?

Lindy roześmiała się przekornie.

- Niestety. Pewnie nie możesz się doczekać, żeby tam wrócić, co?

- Wcale nie. Nie znoszę szkoły. W ogóle nie chcę do niej chodzić.

Determinacja w głosie dziewczynki zwróciła uwagę Lindy. Przysiadła przy małej, otaczając ją ramieniem.

- Dlaczego tak nie lubisz szkoły, kochanie?

- Nie mogę powiedzieć.

- Możesz powiedzieć mi absolutnie wszystko. Obiecuję, że nie będę się śmiać. A może będę umiała ci pomóc.

Miranda nerwowo skubała gips na rękę.

- Nikt mnie nie lubi - szepnęła. - Oni wszyscy mnie nienawidzą.

Lindy słuchała uważnie. Nawet jeśli wrażenia dziewczynki były mocno przesadzone, musiała żyć w strasznym napięciu.

- Dlaczego tak sądzisz, kochanie?

- Wołają za mną „grubaska” albo „baleron”, i do tego mnie szczypią. Wtedy na zjeżdżalni wcale sama nie spadłam, tylko mnie zepchnęli.

- Jesteś tego pewna?

- Wcześniej słyszałam, jak się na mnie namawiają. A potem jedna dziewczynka, która zjeżdżała zaraz za mną, pchnęła mnie z całej siły. Bałam się o tym powiedzieć - ciągnęła Miranda, tuląc do siebie misia. - A w tym tygodniu zamknęli mnie w takiej okropnej szopie na boisku, gdzie trzyma się chomiki i świnki morskie. Siedziałam strasznie długo, i w dodatku po ciemku, aż w końcu wypuścił mnie jeden nauczyciel.

Lindy z czułością przytuliła dziewczynkę.

- Nie martw się, kochanie. Jestem pewna, że kiedy dowiedzą się, że byłeś chora, nie będą ci więcej dokuczać. A teraz połóż się wygodnie i odpocznij. Zaraz wrócę.

- Nie sądzisz, że to zamknięcie w pomieszczeniu pełnym zwierząt mogło wywołać alergię?

- W każdym razie warto to sprawdzić - zgodził się Mike, przyglądając się Lindy z podziwem. - Musiałaś naprawdę wzbudzić zaufanie tej małej, skoro opowiedziała ci, jak ją prześladowają - zauważył, uśmiechając się przy tym tak, że Lindy zakręciło się w głowie. - Chodź, porozmawiamy o tym z jej matką, bo pewnie nie ma zielonego pojęcia o szkolnych problemach córki.

- Lepiej sam z nią pogadaj. Z tego, co widziałam w zeszłym tygodniu, bardzo wpadłeś jej w oko.

- Chyba żartujesz.

Lindy odwróciła się i już miała odejść, kiedy Mike chwycił ją za ramię.

- Zaczekaj. Nie podałaś mi jeszcze adresu. Chyba nie zapomniałaś, że jesteśmy umówieni na wieczór.

Jakżeby mogła zapomnieć? Przecież od rana właściwie o niczym innym nie myśli. Co więcej, właściwie pokonała już wcześniejsze opory i teraz perspektywa wieczoru w towarzystwie Mike'a naprawdę zaczynała ją cieszyć. Zresztą, która dziewczyna nie chciałaby umówić się z kimś tak miłym, dowcipnym, uprzejmym i w dodatku bosko wręcz przystojnym?

- Mieszkam w małym domku z tarasem przy Laburnum Grove, tuż za skrzyżowaniem z ulicą prowadzącą do szpitala.

- Przyjadę po ciebie o siódmej. Bądź gotowa, bo ja się nigdy nie spóźniam.

- Chyba że wysiądzie ci motor - roześmiała się Lindy.

To śmieszne, myślała. Czuła się jak nastolatka przed pierwszą w życiu randką, a przecież miała tylko spędzić godzinę czy dwie w towarzystwie kolegi z pracy. Pewnie pogadają o zbiórce pieniędzy na rzecz szpitala i pracy Mike'a w Nowym Jorku. Postanowiła nie pytać, co skłoniło go do powrotu do kraju, bo domyślała się, że powód musi być delikatnej natury. Poczekaj, aż sam zechce mówić na ten temat.

Wyciągnęła ubrania z szafy i rozpoczęła przymierzanie. Niestety, właściwie wszystko okazało się przyciasne. Jake lubił bardzo szczupłe kobiety, więc od kiedy zaczęła się z nim spotykać, stale była na diecie. Jednak, jak się okazało, od czasu rozstania nadrobiła braki i teraz nie ma się w co ubrać. W końcu wybrała czarne spodnie i różowy sweterek, w którym zawsze było jej wyjątkowo do twarzy.

Wykonanie makijażu też okazało się nie lada problemem. Nie chciała wyglądać wyzywająco, ale też zdawała sobie sprawę, że po dniu ciężkiej pracy musi nadać twarzy nieco kolorytu. Leciutko musnęła policzki różem, powieki pociągnęła beżowym cieniem, a na usta nałożyła jasną szminkę. Świeżo umyte i wysuszone na szczotce włosy związała w węzeł na karku. Gdy wreszcie stanęła przed lustrem gotowa do wyjścia, uznała, że wygląda całkiem nieźle.

Usiadła na kanapie i spojrzała na zegarek. Była za pięć siódma.

Dzwonek telefonu odezwał się, kiedy Mike szykował się do wyjścia. Dochodziła szósta i miał akurat tyle czasu, by się przebrać i pojawić u Lindy o umówionej godzinie.

- Doktorze Corrigan, dzwoni pana siostra - zawołała rejestratorka.

Mike przestraszył się nie na żarty. Susy nigdy nie niepokoiła go w pracy. Skoro zdecydowała się na telefon, musiało się wydarzyć coś naprawdę ważnego.

- Przepraszam, Mike, ale musiałam się z tobą skontaktować - mówiła przerażonym głosem. - Chodzi o Maxa. Chyba uciekł z domu. Nie mogę go nigdzie znaleźć. - Przełknęła ślinę. - Boję się, że...

- Wiem, czego się boisz, Susy - przerwał Mike siostrze, próbując zachować spokój. - Będę u ciebie za dziesięć minut. I nie martw się. Nie mógł przecież odjechać daleko.

Kiedy wsiadał na motor, serce waliło mu jak młotem. Psotny, ciekawski pięciolatek mógł pojechać wszędzie i z każdym, a szczególnie z osobą, którą dobrze znał.

Spojrzał na zegar na ścianie szpitala i zaklął w duchu. Niestety, nie znał numeru telefonu Lindy, a nie miał teraz czasu, by spróbować go ustalić. Było mu szczerze przykro, że musi ją zawieść, ale pocieszał się, że akurat ona wykaże zrozumienie, gdy dowie się, dlaczego nie mógł przyjść na spotkanie.

Już od dwóch godzin siedziała na kanapie. Na początku z rozbawieniem wyobrażała sobie, że doktor Corrigan pewnie znowu mocuje się z motocyklem. Kiedy zadzwonił telefon, była przekonana, że to Mike chce przeprosić ją za spóźnienie. Jednak lekko zachrypnięty głos w słuchawce należał do Sheili, która przypomniała jej, że w niedzielę umówiły się na lunch. Przy okazji Lindy dowiedziała się od przyjaciółki, że dziś nic nie zatrzymało Mike'a w szpitalu. I w końcu zrozumiała, że wspaniały pan doktor po prostu sobie z niej zażartował.

Poszła do sypialni, zdjęła wyjściowy strój i ze złością rzuciła go w kąt, a potem padła na łóżko i wybuchnęła płaczem. Ledwie zaczęła odzyskiwać mocno nadszarpniętą ostatnio wiarę w siebie, a znowu spotkał ją zawód. Po co w ogóle umawiała się z facetem, który, jak się właśnie okazało, jest wierną kopią Jake'a? Do widzenia, doktorze Corrigan! I niech się panu nie wydaje, że zgodzę się na współpracę w jakimś niedorzecznym Komitecie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tuż przy jej głowie rozległ się ostry dzwonek telefonu. Wyrwana z głębokiego snu, nieprzytomnie rozejrzała się po sypialni. Jednak po chwili przykre wydarzenia ostatniego wieczoru wróciły do niej z całą mocą.

Pomyślała, że to Mike postanowił zadzwonić, by ją przeprosić. Wczoraj była tak wściekła, że porównała go do Jake'a. Mimo wszystko trochę przesadziła. Rzeczywiście sprawił jej zawód, ale na ogół robił wrażenie serdecznego, pogodnego człowieka, czego o Jake'u nie dałoby się powiedzieć.

Jednak to nie głos Mike'a usłyszała w słuchawce.

- Lindy, mamy tu urwanie głowy! - Janet Lessiter była wyraźnie zdenerwowana. - Sheila właśnie dała nam znać, że jednak złożyła ją grypa, a tymczasem wiozą nam rannych z wypadku. Wiem, że masz wolne, ale gdybyś mogła...

- W porządku - zgodziła się bez wahania. Zazwyczaj cieszyła się na myśl o każdym wolnym

dniu, ale dziś i tak pewnie marnowałyby czas, snując smutne refleksje na temat wczorajszego wieczoru. Nawet lunch z Sheilą pewnie nie dojdzie do skutku, skoro przyjaciółka jest chora.

- Już idę.

Przed szpitalem stały cztery karetki pogotowia i policyjny radiowóz. W izbie przyjęć lekarz i pielęgniarki opatrywali około dziesięciu rannych.

- Dziękuję, że zgodziłaś się przyjść. - Zacięta twarz Janet rozchmurzyła się nieco na widok Lindy. - Ledwie dajemy sobie radę. Ciężarówka do przewozu koni najechała na grupę czternastu rowerzystów. Kierowca chyba stracił panowanie nad kierownicą. Pierwszy pacjent właśnie został zawieszony na małą salę zabiegową. Pobierz mu krew na krzyżówkę. Ma

liczne złamania, a niewykluczone, że i jakieś obrażenia wewnętrzne.

Ranny wyglądał na niespełna dwadzieścia lat. Na szyi miał usztywniający kołnierz sięgający po ciemną, krótko ostrzyżoną i lepką od krwi czuprynę. Prawa noga, ustawioną pod nienaturalnym kątem, leżała bezwładnie na materacu.

Lindy popatrzyła na chłopaka ze współczuciem. Nie musiała pytać, żeby domyślić się, jak bardzo cierpi.

Mike, pochylony nad pacjentem, właśnie osłuchiwał mu płuca. Kiedy podniósł głowę, Lindy odniosła wrażenie, że od wczoraj postarzał się o dobre dziesięć lat. Był blady jak ściana, a podkrążone oczy otaczała siateczka głębokich zmarszczek. Spojrzał na Lindy z pewną konsternacją, ale nie odezwał się, tylko całą uwagę ponownie skupił na rannym.

- Nazywa się Carlo Romoli - rzekł po chwili. - Stoczył potyczkę z ciężarówką do przewozu koni i raczej nie wyszedł z niej zwycięsko. Podejrzewam pęknięcie kości udowej i skomplikowane, otwarte złamanie piszczeli. Trzeba założyć wenflon, żeby podać mu środki znieczulające, a potem przewieźć na rentgen. Zaraz zejdzie tu Mark Hadfield z ortopedii, żeby go obejrzeć przed zabiegiem. - Uśmiechnął się do chorego. - Wiem, że cię boli, i zaraz coś na to zaradzimy. Kiedy dostaniesz pięć miligramów diamorfiny, poczujesz się lepiej.

Lindy nabrała lek w strzykawkę i wykonała zastrzyk.

- Aż tak boli? - zapytała, widząc, jak pacjent zagryza wargi.

- Aha - jęknął chłopak, spoglądając na nią żałośnie. - A co najgorsze, to był mój nowy rower. Dostałem go od rodziców na osiemnaste urodziny. Będzie im przykro, kiedy się dowiedzą, że niewiele z niego zostało.

- Coś mi się wydaje, że akurat nie o rower będą się teraz martwić - uśmiechnęła się Lindy. Diamorfina zaczęła już

działać. - Masz niezwykle imię, a po angielsku mówisz bez obcego akcentu. Skąd pochodzisz?

- Rodzice są Włochami, ale już od lat mieszkamy w krajach, w których mówi się po angielsku.

- A gdzie teraz są twoi rodzice?

- W Londynie. Chodzę tam do college'u.

- Policja powiadomi ich o wypadku - zapewniła Lindy chłopca i podniosła wzrok na Jacka Hulse'a, który właśnie pojawił się w drzwiach. - Zawieź go na rentgen, tylko pamiętaj, że masz obchodzić się z nim jak z jajkiem.

Kiedy salowy zniknął z rannym za drzwiami, Lindy zabrała się do sprzątnięcia sali, udając z trudem, że obecność Mike'a jest jej zupełnie obojętna. Przecież nie będzie go pytać, dlaczego nie przybył na spotkanie.

Nagle poczuła na ramieniu jego dłoń.

- Wybaczysz mi, że nie przyszedłem? - zapytał. - Wiesz przecież, że nigdy nie zrezygnowałbym ze spotkania z tobą bez naprawdę bardzo ważnej przyczyny.

Patrząc na jego wymęczoną twarz, Lindy ledwie pohamowała odruch współczucia. Co prawda wczoraj wieczorem obiecała sobie, że nie będzie słuchać żadnych tłumaczeń, ale sam widok Mike'a mówił jej, że musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego. Po chwili wahania uznała jednak, że nie ulegnie słabości jedynie dlatego, że doktor Corrigan jest dziś zmęczony.

- Nie ma sprawy - odrzekła chłodno. - Był niezły program w telewizji, a poza tym nareszcie znalazłam czas na domowe porządki.

- Zadzwoń bym, ale musiałem się spieszyć.

- No pewnie. - Wzruszyła ramionami.

Na szczęście, zanim Mike zdążył się znowu odezwać, w drzwiach pojawiła się Janet.

- O, widzę, że skończyście.

- Pacjent pojechał na prześwietlenie - wyjaśnił Mike.

- Świetnie, więc zanim wróci, zajmijcie się, proszę, kierowcą ciężarówki. Ma brzydkie i sięgające okostnej rozcięcie na zuchwie. Trzeba to ładnie zszyć. Nazywa się John Ludlam.

Lindy skonstatowała w duchu, że dziwnym zbiegiem okoliczności akurat dzisiaj, kiedy jej stosunki z Mikiem mocno ochłodziły, najwyraźniej przez cały dzień przyjdzie im pracować razem. Bez słowa zaczęła przygotowywać potrzebne narzędzia. Szum wody w umywalni mówił jej, że Mike właśnie szykuje się do zabiegu. Pojawił się w sali w zielonym fartuchu, z maską na twarzy.

- Chcę, żebyś wiedziała - powiedział głosem przytłumionym przez maskę - że nie jestem łobuzem, który nie pojawia się na spotkanie bez zawiadomienia. Ale nie znałem numeru twojego telefonu, a miałem za mało czasu, żeby...

- Przecież już mówiłam, że nic się nie stało - odrzekła ma pozór obojętnie, choć wyglądał teraz tak pociągająco, że najchętniej rzuciłaby się mu w ramiona.

- Pewnie myślisz, że zwyczajnie zapomniałem...

- Nie. - Lindy zarumieniła się. - Choć rzeczywiście lepiej by było, gdybyś zadzwonił.

- Wiem, i dlatego zamierzam zabrać cię gdzieś po pracy i wszystko wyjaśnić. - Postąpił krok w kierunku Lindy i spojrzał jej w oczy przenikliwym wzrokiem. - Nie chcę, żebyś myślała, że nie można na mnie polegać.

Pokręciła głową z przekonaniem.

- Jestem dziś zbyt zajęta...

- Nie przyjmuję żadnych wymówek. Zresztą, nie wolno odmawiać chirurgom. O, właśnie wiozą nam pacjenta.

John Ludlam nadal był w szoku. Mimo że dostał kroplówkę ze środkiem uspokajającym, jego pobladłą twarz pokrywały kropelki potu.

- Powiedźcie mi, co się dzieje - szepnął ochryple, chwytając Lindy za rękę. - Nikt mi niczego nie mówi. Nie wiem dlaczego, ale nagle hamulce przestały pracować. Wjechałem prosto w tych wszystkich młodych ludzi. Błagam, powiedzcie, czy kogoś zabiłem. Nigdy sobie tego nie daruję. Miałem odebrać konia i...

Mike i Lindy wymienili przepelnione współczuciem spojrzenia.

- Nasza ordynator twierdzi, że nikt nie został zabity.

Kiedy dowiem się czegoś więcej, natychmiast dam panu znać.

Usiadł na krześle obok pacjenta i dokładnie obejrzał ranę. Na szczęście sama okostna pozostała nienaruszona.

- Musimy to zszyć, ale najpierw zrobię panu zastrzyk ze środkiem znieczulającym.

- Już zawsze będę się czuł jak morderca! Michael położył mu dłoń na ramieniu.

- Może to w ogóle nie była pana wina. Policjanci na pewno przeprowadzą dokładne badania ciężarówki i wyjaśnią, co się stało. Niech pan spróbuje się trochę odprężyć, a ja zszyję tę ranę.

Lindy przyglądała się z podziwem, jak Mike precyzyjnie usuwa zmiażdżoną tkankę i starannie zakłada cieniutkie szwy, by nie zniekształcić twarzy pacjenta.

- No to skończyliśmy - rzekł w końcu, ściągając lateksowe rękawiczki. - Proszę teraz chwilę poleżeć i odpocząć. Ale policjanci niedługo będą chcieli z panem porozmawiać. Jest pan w stanie stawić im czoło?

Mężczyzna skinął głową.

- Tak, wolałbym jak najszybciej mieć to za sobą - odparł głosem pozbawionym wyrazu. - Dziękuję, doktorze.

Lindy wyszła do przyszpitalnego ogrodu, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza po ciężkim dyżurze. W wirze zajęć prawie zapomniała o porannej rozmowie z Mikiem. Zapowiedział przecież, że po pracy wszystko jej wyjaśni, lecz wcale nie była pewna, czy chce go wysłuchać. Właśnie zastanawiała się, czy nie udać się niepostrzeżenie do domu, kiedy za plecami usłyszała jego kroki.

- Dobrze, że mi nie uciekłaś...

- A ile czasu zajmie ci to, co masz do powiedzenia?

- Dokładnie tyle, ile potrzeba na napicie się lodowatej lemoniady i zjedzenie domowej roboty ciasta.

- Nie mów, że sam je upiekłeś. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- No nie. Moja siostra piecze doskonale ciasta, a ponieważ sama ich nie je, wszystkie trafiają do mnie. Zasłużyliśmy dziś chyba na chwilę relaksu, więc zapraszam cię do siebie. Potem odwiozę cię do domu.

Zupełnie nie wiedziała, jak się zachować. Podświadomie czuła, że oto nadszedł decydujący moment. Czy ma odmówić i utrzymać dzielący ich dystans, czy też przystać na propozycję Michaela i zaryzykować, że od dzisiaj jej serce jeszcze mocniej będzie bić na jego widok?

- Nie możesz mi tutaj wszystkiego wyjaśnić? - próbowała się opierać, mimo że perspektywa obserwowania Mike'a w zaciszu domowym kusila ją coraz bardziej. - Jestem naprawdę zmęczona.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak cię odświeży zimna lemoniada. A to ciasto! Palce lizać, naprawdę.

- No dobrze, wygrałeś - roześmiała się. - Pojadę, ale tylko na chwilę.

Mike mieszkał nieopodal Manorfield, w niewielkim, krytym strzechą domku, który z powodzeniem mógł służyć za reklamę angielskiej wsi. W ogródku rosły narcyzy, żonkile i krokusy.

- Jak tu pięknie! - westchnęła z zachwytem, rozglądając się wokół. - To twój własny dom?

- Na razie go wynajmuję, ale mam nadzieję, że właściciel w końcu zgodzi się go sprzedać. Mieszka za granicą i chyba nie zamierza tu wracać.

Weszli do przedpokoju, a kiedy Mike zapalił światło, Lindy nagle poczuła się skrępowana jego bliskością. Pomieszczenie było tak małe, że aż czuła świeży zapach mydła, którym mył się po dyżurze, przed wyjściem ze szpitala.

- To co z tą lemoniadą? - zapytała.

- Już podaję. Chodź.

Wprowadził ją do ślicznego saloniku z półokrągłymi oknami wychodzącymi na ogród i ciągnące się dalej pola i łąki.

- Zaczekaj tutaj.

Rozglądała się po pokoju jak urzeczona. Przykryte pluszowymi narzutami, wygodne foteleki wspaniale komponowały się z wnętrzem. Stara szafka wypełniona książkami i zgrabny stolik dopełniały całości.

Podniosła ze stolika oprawioną w ramki fotografię. Było to stare, czarno - białe zdjęcie przedstawiające mniej więcej dziesięcioletniego chłopca i małą dziewczynkę o smutnych oczach. Chłopiec wygląda dziwnie znajomo, pomyślała, po czym uprzytomniła sobie, że to mały Mike. Ciekawe, że często zdarzało się jej odnosić wrażenie, że ludzie, których spotyka, a nawet pewne miejsca, odegrały już jakąś rolę w jej życiu. Nawet otoczony przeszkloną werandą dom, na tle którego sfotografowano dzieci, nie wydawał się jej obcy.

Kiedyś coś okropnego spotkało ją w podobnym domu. Aż zadrżała, bo przed oczyma nagle stanął jej widok rozbitych szklanych drzwi i morze krwi na podłodze.

Pomyślała, że pewnie podświadomie szuka znajomych miejsc i ludzi, by dowiedzieć się czegoś o własnej rodzinie. Zresztą, przy odrobinie szczęścia, może niedługo się jej to uda. Nie tak dawno, mimo dręczących ją wątpliwości co do słuszności tego, co robi, zdecydowała się zacząć poszukiwania. Teraz lada dzień spodziewała się listu, który powinien otworzyć przed nią furtkę do wczesnego dzieciństwa.

Mike wrócił z kuchni i ustawił na stoliku tacę z lemoniadą i ciastem, na którego widok Lindy natychmiast napłynęła ślinka do ust.

- Od razu odzyskasz siły - powiedział, kładąc jej na talerzyku okazały kawałek czekoladowego biszkoptu, przełożonego jasnym kremem.

Spróbowałszy, Lindy aż zamruczała z rozkoszy.

- Pyszne. Taka siostra to prawdziwy skarb - pochwaliła. - Ale - dodała po chwili, przypomniawszy sobie o właściwym celu wizyty - nie wyjaśniłeś mi jeszcze, dlaczego mnie wczoraj zawiodłeś. Musiałeś ruszyć kogoś na ratunek tak szybko, że nawet nie mogłeś zadzwonić?

Mike usiadł w fotelu i zapatrzył się w okno.

- Rzeczywiście, ktoś potrzebował mojej pomocy, ale tym razem nie miało to nic wspólnego ze szpitalem. A problemy rodzinne są na tyle mało zajmujące, że boję się zanudzić cię na śmierć.

Ciekawość Lindy nie została zaspokojona. Mimo że Mike najwyraźniej wolałby nie wprowadzać jej w szczegóły, postanowiła, że jakoś dowie się prawdy.

- Ktoś zachorował? - zapytała.

- Nie. - Pokręcił głową i znów się zamyślił. - To wszystko jest takie skomplikowane! - dodał po chwili. - Moja siostra samotnie wychowuje syna, bo jej mąż to potworny łajdak. Trudno nawet opisać, ile wyrządził jej krzywdy.

- Wzięła z nim rozwód?

- Na szczęście tak, i oczywiście sąd przyznał jej całkowitą opiekę nad Maxem. Ojciec może spotykać się z nim tylko w wyznaczone dni i jedynie w jej obecności. Niestety, Rick nie chce się z tym pogodzić. Już kilkakrotnie próbował go uprowadzić, a wczoraj prawie mu się to udało.

Lindy zaniemówiła z wrażenia.

- To straszne - szepnęła po chwili. - Rozumiem, że dacie znać na policję.

Mike bezradnie rozłożył ręce.

- Choć trudno w to uwierzyć, Susy nie chce w to mieszać policji, przynajmniej na razie. Chyba wciąż czuje coś do tego drania, a poza tym obawia się, że sąd zakazałby Rickowi jakichkolwiek kontaktów z dzieckiem. Tymczasem ona upiera się, że Max powinien widywać ojca.

- To znaczy, że wczorajszy wieczór spędziłeś, szukając siostrzeńca?

- Do drugiej w nocy. Max bawił się w ogrodzie przed domem i nagle gdzieś wyparował. Siostra przeraziła się, że Rick będzie próbował wywieźć go za granicę, ale na szczęście udało mu się dotrzeć jedynie do własnego domu. Jakoś udało mi się przekonać go, że miejsce chłopca jest z matką, ale nie było to łatwe. Możesz mi wierzyć, że sto razy wolałbym jeść z tobą kolację, niż włóczyć się po nocy po jakichś ruderach. - Michael pochylił się i spojrzał w oczy Lindy. - To jak, wybaczysz mi?

Jak mogłaby odmówić? Z trudem powstrzymała się, by nie pogłodzić jego zmęczonej twarzy o jakże smutnym teraz spojrzeniu. Przymknęła oczy, próbując wyobrazić sobie

wrażenia, jakich dostarczyłoby jej dotykanie jego skóry. Szybko jednak otrząsnęła się z marzeń. Przecież Mike zaprosił ją do siebie ze zwykłej przyjaźni i snucie jakichkolwiek fantazji na jego temat jest po prostu niedorzeczne!

- Oczywiście. Przecież nie miałeś wyboru. Bardzo się cieszę, że udało ci się odnaleźć siostrzeńca. Siostrze kamień spadł z serca.

- Owszem - odparł. - Nie mogę pojąć, dlaczego raz na zawsze nie zerwie kontaktów z tym draniem. Nie muszę ci chyba mówić, jak Max to wszystko przeżywa.

- Pewnie jednak brakowałoby mu kontaktów z ojcem. Na twarzy Mika pojawił się nagle zacięty wyraz.

- Szczerze mówiąc, niezależnie od tego, co sądzi moja siostra, uważam, że Rick jest wierną kopią naszego własnego tatusia, a możesz mi wierzyć, że z całego dzieciństwa najmilej wspominam dzień, kiedy na dobre zniknął z naszego życia. Czasem lepiej jest w ogóle nie mieć rodziców.

- Tak myślisz? - Lindy uśmiechnęła się smutno. Sama wiele by dała, by dowiedzieć się czegoś o własnej rodzinie, o matce, która przed laty zdecydowała się oddać ją do adopcji.

- Bardzo kochasz siostrzeńca. To właśnie z jego powodu wróciłeś tu z Nowego Jorku?

- To wspaniały, tryskający energią dzieciak. Od razu byś go polubiła. A jeśli chodzi o mój powrót, nie mogłem zostawić siostry samej z dzieckiem. Potrzebowała mojej pomocy, a przyjazd tutaj nie wymagał ode mnie żadnego poświęcenia.

Lindy pokiwała głową ze zrozumieniem. To jasne, że ktoś taki jak Mike czuje się odpowiedzialny za rodzinę. Szkoda tylko, że po tym, co usłyszała, nabrała pewności, że siostra i jej syn zawsze będą w życiu Mike'a na pierwszym miejscu. Tymczasem Lindy wolałaby poznać mężczyznę, dla którego to ona będzie najważniejsza.

Po chwili Mike podniósł się z miejsca i wziął ją za rękę.

- Skoro już znasz prawdę, może moglibyśmy zacząć wszystko od nowa? - odezwał się łagodnie. Drugą dłonią pogładził ją po lśniących włosach. - Pozwolisz mi się zrehabilitować?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy potrafi się oprzeć spojrzeniu jego lazurowych oczu, uśmiechowi pełnych ust, świeżemu zapachowi skóry...

- Naprawdę nie musisz - jęknęła. Twarz Mike'a nagle pojaśniała.

- To znaczy, że się zgadzasz - powiedział i delikatnie musnął wargami jej usta.

Poczuła, jak nagle przeszył ją dreszcz, a pożądanie zawładnęło jej ciałem. Rozchyliła usta i przywarła do Mike'a całą swą drobną postacią, pozwalając jego dłoniom pieścić swą rozpaloną skórę. Jednocześnie odezwało się w niej poczucie winy i złość. Po co w ogóle zgodziła się tu przyjść! Przeraziła się nie na żarty. Jak to możliwe, że jej zmysły tak gorąco odpowiedziały na pierwszą próbę fizycznego kontaktu ze strony Mike'a?

W końcu zdołała odzyskać panowanie nad sobą i uwolniła się z jego ramion.

- Muszę już iść - wyjąkała, poprawiając włosy. Serce waliło jej jak młotem. - Bardzo mi się u ciebie podoba, ale mam dzisiaj jeszcze sporo rzeczy do zrobienia. Pozwolisz tylko, że najpierw skorzystam z łazienki.

- Oczywiście. Jest na górze. Pierwsze drzwi na lewo od schodów. Potem cię odwiozę.

W zamyśleniu przyglądał się, jak Lindy wchodzi na piętro. Mimo że znał w życiu wiele kobiet, żadna nie pociągała go tak bardzo jak ona. Jej brzoskwiniowa cera, oczy koloru jesiennych liści i oszałamiająca figura od początku wzbudzały jego zachwyty. A dziś odniósł wrażenie, że on też nie jest jej

obojętny. Tylko potem niepotrzebnie ją spłoszył. Tymczasem domyślał się jedynie, że jakiś demon z przeszłości każe jej zachować ostrożność. Jeśli naprawdę chce zdobyć zaufanie tej dziewczyny i zrozumieć, co ją gnębi, musi postępować delikatnie, by nie zranić jej uczuć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gumowy zamek cieszył się wielką popularnością. Dzieci czekały w długiej kolejce, by poskakać na dmuchanej podłodze i poobijać się o miękkie ściany.

- Zaraz będziemy mieli na oddziale kolejkę małych pacjentów ze wstrząsem mózgu i połamanyimi nogami - zauważyła Janet z przekąsem.

Obie z Lindy obsługiwały centrum informacji na temat obchodów dnia szpitala Świętego Łukasza, których najważniejszym punktem miał być bieg przełajowy po przyszpitalnych błoniach i parku. Wrodzone czarnowidztwo kazało Janet już teraz przewidywać, ile zwichniętych kostek przyjdzie im opatrywać po biegu.

- Nawet się nie spodziewałam, że przyjdzie aż tyle ludzi - zauważyła Lindy.

Przy stołach ustawionych pod kolorowymi namiotami goście popijali napoje chłodzące. Pogoda na szczęście dopisała i wszystkim uczestnikom udzieliła się iście świąteczna atmosfera. Na samą myśl o czekającym ją dzisiaj biegu Lindy czuła, że drętwieją jej nogi. Oczywiście jedyną osobą, którą winiła za ten stan rzeczy, był Mike. Gdyby nie obawa, że znowu się na niego natknie, zapewne co wieczór trenowałyby w parku. Ale po tym, co wydarzyło się w jego saloniku, wolała nie wystawiać się na kolejną próbę. Nadal nie rozumiała, jakim cudem tak chętnie padła mu w ramiona, mimo bólu, jaki tak niedawno sprawił jej Jake.

W każdym razie, na ile to było możliwe, starała się schodzić Mike'owi z drogi. Co bynajmniej nie znaczyło, że przestała o nim myśleć. Co gorsza, śnił się jej po nocach, i to w sytuacjach wręcz intymnych.

Teraz jednak starała się skupić całą uwagę na prowadzeniu kampanii informacyjnej na rzecz szpitala. Przy jej stoliku właśnie pojawił się dziennikarz miejscowej gazety, próbujący

ustalić, czy stary szpital rzeczywiście dobrze służy mieszkańcom Manorfield.

- Oczywiście - odparła. - Wystarczy spojrzeć na ten tłum ludzi, którzy przyszli tu dzisiaj, żeby okazać nam swoją sympatię.

- Właśnie. - Usłyszała za plecami charakterystyczny, nieco piskliwy głos. - Mojej córce w ciągu tygodnia dwukrotnie uratowano tu życie.

Odwróciła głowę i aż zaniemówiła ze zdziwienia. Oto pani Fyles - Smith, trzymając za rękę Mirandę, uśmiechała się do niej serdecznie. Lindy nigdy nie przypuszczała, że taka dama zechce uczestniczyć w szpitalnym festynie. Już prędkiej mogła wyobrazić ją sobie w eleganckiej sukni na balu charytatywnym dla lokalnej elity.

- Dziękujemy za poparcie - powiedziała, starając się ukryć zaskoczenie. - Jak się masz, Mirando? O ile pamiętam, już niedługo masz mieć zdjęty gips.

Dziewczynka miała dziś zaróżowioną, roześmianą buzię i wyglądała o całe niebo lepiej.

- Wiesz, że moja mamusia będzie się dzisiaj ścigać, żeby pomóc zebrać pieniądze na szpital? - powiedziała, patrząc na matkę z dumą.

Lindy znowu musiała się wysilić, żeby nie okazać zdumienia. Pani Fyles - Smith uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Tak pomogliście Mirandzie... Gdyby nie wy, w ogóle nie dowiedziałabym się, że dzieci tak jej dokuczają. Jestem wam bardzo zobowiązana. A kiedy doktor Corrigan opowiedział mi o tarapatach, w jakich znalazł się szpital, i o tym, że organizujecie ten bieg, od razu postanowiłam wziąć w nim udział. Przynajmniej codzienne tortury, jakim poddaję się na siłowni, raz na coś się zdadzą.

Lindy musiała zagryźć wargi, by ukryć rozbawienie.

- Nawet nie wyobraża pani sobie, jak bardzo jesteśmy pani wdzięczni - odrzekła z powagą.

Patrząc na odchodzące w kierunku parku matkę i córkę, Lindy pomyślała, że nie ma chyba kobiety, której Mike nie potrafiłby owinać sobie wokół palca.

- Przepraszam, siostrze, ale chciałem zapytać, czy to prawda, że na oddziale nagłych wypadków personel zmuszany jest do pracy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a do tego wszystkimi pacjentami zajmuje się jeden lekarz i jedna pielęgniarka?

Na dźwięk głosu Mike'a Lindy poczuła gwałtowne ściskanie w żołądku. Była przekonana, że nadal jest w parku, gdzie wraz z innymi przygotowuje trasę przed biegiem. Tymczasem wyrósł obok niej, jak spod ziemi, ubrany w szary, sportowy strój z napisem: Szpital Świętego Łukasza. Przełknęła ślinę i powitała go chłodnym skinieniem głowy, natomiast Janet roześmiała się głośno.

- Owszem. Często pracownicy znajdują się na skraju załamania nerwowego, prawda, siostrze? - odezwała się, mrugając do Lindy porozumiewawczo.

Obok nich natychmiast pojawił się jakiś początkujący dziennikarz i zaczął dopytywać się o warunki pracy w szpitalu.

- Niestety, muszę pana rozczarować, młody człowieku. To był żart. Przepraszam - wyjaśnił Mike.

Chłopak spojrział na wizytówkę, którą lekarz miał przypiętą do piersi, i oddalił się ze wzruszeniem ramion.

- Ładne rzeczy! - roześmiała się Lindy. - Założę się, że jutro będziemy mieć kontrolę z ministerstwa na głowie.

- I właśnie o to chodzi - zauważyła Janet z powagą. - Wreszcie miałabym okazję opowiedzieć im o naszych problemach. - Spojrzała na Lindy. - Skoro masz brać udział w tym nedorzecznym biegu, możesz już iść się przebrać. Zaraz

powinna przyjść Sheila, żeby tu pomóc. Tylko żebyś mi przypadkiem nie wróciła w charakterze pacjentki.

- Właśnie - wtrącił Mike. - Najwyższy czas, żebyś zaczęła rozgrzewkę. Nie widziałem ostatnio, żebyś trenowała. W ogóle - dodał łagodnie - mało cię ostatnio widuję. A przecież obiecałaś, że dasz mi szansę się zrehabilitować. Trzymam cię za słowo. Mam dzisiaj wolny wieczór. - Objął ją i poprowadził w stronę parku.

- Niczego nie obiecywałam - zachnęła się, starając się nie zwracać uwagi na rozkoszne ciepło, które nagle ogarnęło jej ciało. Była zła, że Mike z góry założył, że sama też dziś jest wolna, a już najbardziej irytował ją fakt, że nie mijał się z prawdą, bo w zasadzie od jakiegoś czasu wszystkie wieczory spędzała samotnie.

- Muszę się przebrać - powiedziała szybko, wyzwalając się z uścisku. - Bo w pielęgniarstwie wyglądałabym dość dziwnie na trasie.

Nerwowo rozejrzała się po licznej grupie zawodników przygotowujących się do startu. Była coraz bardziej przekonana, że popełniła błąd, godząc się na udział w wyścigu. Wysportowane sylwetki większości zebranych zdawały się świadczyć o tym, że ludzie ci regularnie trenują biegi.

Pani Fyles - Smith rozgrzewała się w charakterystyczny dla sportowców sposób. Dobrze ukształtowane mięśnie i równa opalenizna nie pozostawiały wątpliwości, że jest częstym gościem siłowni i solarium. Wokół niej zebrała się spora grupka hałaśliwych osób w markowych, sportowych ciuchach, przybyłych po to, by oklaskiwać jej występ.

Mały podskakujący z przejęcia chłopaczek w baseballowej czapeczce, który właśnie podbiegł do Mike'a, był tak uderzająco do niego podobny, że Lindy natychmiast domyśliła się, że to Max.

- Wujku, byłem na go - kartach! - krzyknął malec. - Są sto razy lepsze od gumowego zamku.

Mike wesoło zmierzwił dłonią czuprynę dziecka.

- Posłuchaj, Max. Muszę się teraz przygotować do biegu. Idźcie z mamą na lody i poczekajcie na nas na mecie.

- Pewnie. - Chłopiec popędził jak strzała. - Kupię ci duże lody, chcesz? - zawołał wesoło, oglądając się przez ramię, i Lindy stwierdziła, że mimo rodzinnych dramatów malcowi zdecydowanie dopisuje humor.

Kiedy Mike ściągnął dres, aż westchnęła z zachwytem.

Krótkie spodenki i koszulka na wąskich ramiączkach odsłoniły silne mięśnie. Nagle zdała sobie sprawę z mankamentów własnej figury. Po co, na Boga, włożyła te króciutkie szorty i przyciasną koszulkę! Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem zebranych. Na szczęście kilkoro szykujących się do biegu starszych pracowników szpitala prezentowało się równie nieciekawie jak ona.

Rozległ się strzał i wszyscy ruszyli. Lindy skupiła całą uwagę na tym, by utrzymać równe tempo, a przy tym nie biec zbyt szybko. Mimo wszystko chciała ukończyć ten bieg. Gdzieś z przodu migiała jej wysoka sylwetka Mike'a, który bez wysiłku przewodził całej grupie. Utkwiła wzrok w postawnym mężczyźnie, który głośno sapiąc, biegł tuż przed nią.

Gdzieś w połowie trasy poczuła, że oddałaby teraz wszystko za gorącą kąpiel i filiżankę herbaty. Zaczynały ją boleć nawet te mięśnie, o których istnieniu nie miała dotąd zielonego pojęcia. Nawet pojawienie się u jej boku Mike'a nie dodało jej sił. Mimo to nie zamierzała okazywać zmęczenia.

- Świetna zabawa, prawda? - zawołał w jej kierunku, ani trochę nie zdyszany. - Jeśli nie zacznie padać, niedługo powinniśmy być na mecie. Świetnie ci idzie. To jak, podoba ci się nasz bieg?

- A jakże! - wysapała. - Już nie mogę doczekać się następnego.

Podziw z jakim na nią spojrział, świadczył o tym, że jednak domyśla się, iż Lindy przechodzi katusze.

- Masz hart ducha, dziewczyno. Przy najbliższej okazji zwolnimy, żeby się napić.

Lindy z wdzięcznością przyjęła butelkę wody mineralnej od jednego z ochotników ustawionych przy trasie.

- Poruszaj nogami - ostrzegł Mike - bo kompletnie wysiądą ci mięśnie. - Pochylił się i mocnymi dłońmi rozmasował jej łydki. - I jak? Trochę lepiej?

- O wiele - jęknęła, modląc się w duchu, by nie przyszło mu do głowy, że innym częściom jej ciała masaż też wyjdzie na dobre.

- I co? Masz siłę biec dalej? Już niedaleko. Spróbuj skupić myśli na wielkiej kolacji, na którą cię dziś zabiorę.

On chyba nigdy nie daje za wygraną, westchnęła w duchu, opróżniając do końca butelkę.

- Przecież jeszcze się nie zgodziłam - zaprotestowała. - Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Nie szkodzi. I tak zarezerwowałem już stolik. A teraz ruszajmy, bo będziemy ostatni na mecie...

Burza rozpętała się bez żadnego ostrzeżenia. Jeszcze przed chwilą świeciło słońce, a teraz uczestnicy biegu ślizgali się z wysiłkiem na gęstym błocie. W ciągu zaledwie kilku minut wszyscy przemokli do suchej nitki. Mimo to Lindy nie zamierzała się poddać. Truchtała dzielnie u boku Mike'a, ciesząc się, że z daleka widać już linię mety.

Postawny mężczyzna, biegnący dotąd przed nimi, nagle zwolnił i dał się wyprzedzić. Kiedy Lindy obejrzała się, opierał się dłońmi o kolana, jakby musiał chwilę odpocząć, aż nagle bezwładnie runął na ziemię. Zawrócili natychmiast.

Mike nie bez wysiłku ułożył nieszczęsnego biegacza na plecach.

- Nie mogę oddychać. - Chory z największym trudem łapał powietrze. - Boli...

- Nic panu nie będzie. - Lindy wiedziała, jak ważne jest uspokojenie pacjenta. - Jesteśmy tu po to, żeby panu pomóc. Proszę spokojnie leżeć i nic nie mówić.

Słabe i nitkowane tętno chorego pozbawiło ją złudzeń. Domyśliła się, że mają do czynienia z zawałem mięśnia sercowego. Mike poprosił gromadzących się wokół gapiów, by biegli dalej, i przez komórkę wezwał karetkę.

Ktoś podał koc, który Lindy wsunęła pod plecy leżącego. Mimo że wzdłuż całej trasy dyżurowali ochotnicy z pogotowia i studenci akademii medycznej, była wdzięczna losowi, że na miejscu jest kompetentny lekarz, gdyż w podobnych sytuacjach natychmiastowa fachowa pomoc jest nieoceniona.

Kiedy nadjechało pogotowie, mężczyzna zaczął się dusić. Lindy chwyciła podaną przez sanitariusza walizkę z lekami i sprzętem, umieściła w ustach chorego plastikowy ustnik, przez który natychmiast rozpoczęto sztuczne oddychanie, podczas gdy Mike w skupieniu osłuchiwał klatkę piersiową pacjenta.

- Podaj mu adrenalinę i atropinę w zastrzyku. Spróbujemy umiarować rytm - polecił.

Kiedy leki zaczęły działać, Mike odłożył stetoskop i skinął do sanitariuszy.

- W porządku. Możecie go zabrać na OIOM.

Lindy odetchnęła. Mimo że była doświadczoną pielęgniarką, nie nawykła do sytuacji, w których ktoś na pozór zdrowy nagle pada nieprzytomnie u jej stóp, i to w tak niecodziennych okolicznościach.

- Mam nadzieję, że z tego wyjdzie.

- Jeśli nie dostanie zapalenia płuc z przemoczenia. W każdym razie nie mógł być bliżej szpitala - oznajmił Mike, przyglądając się Lindy z rozbawieniem.

Rzeczywiście, siedząc w strumieniach deszczu w gęstym błocie, przedstawiała dość żałosny widok.

- Czas, żebyśmy się wreszcie gdzieś schronili. - Podał jej rękę. - A kiedy się wysuszysz i ogrzejesz, zabiorę cię do małej, wiejskiej knajpki, gdzie podają pyszne zupy i zapiekanki. Zasłużyłaś dziś na coś dobrego.

Pokusa była tak silna, że Lindy niemal już wyraziła zgodę, gdy przypomniła sobie o zakupach, które musi dziś zrobić, bo przecież na jutro zaprosiła przyjaciółki na lunch. Poza tym powinna przecież posprzątać i zrobić zaległe od tygodnia pranie.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Będę dziś bardzo zajęta - powiedziała, zadowolona, że choć raz nie mija się z prawdą.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - stwierdził Mike. - Ruszamy.

Lindy z westchnieniem pobiegła jego śladem. Będą musieli porozmawiać później.

- Wypij to szybko. - Janet wcisnęła jej w ręce kubek gorącej czekolady wzmocnionej sporą dawką whisky. - Musisz się rozgrzać. Miałam rację, że ten cały bieg niedobrze się skończy - stwierdziła nie bez satysfakcji.

Lindy siedziała otulona kocem w szpitalnej kuchence. Zdążyła już wziąć gorący prysznic i przebrać się w suche ubranie.

- Tego właśnie było mi trzeba. - Spojrzała na Janet z wdzięcznością. - Nie wiesz przypadkiem, co z tym pacjentem z zawałem?

- Jest na OIOM - ie. Przywieźli go właściwie w ostatniej chwili. Jeszcze trochę, a byłoby za późno. Nie rozumiem, jak ktoś po sześćdziesiątce, i to w dodatku bez żadnego treningu,

może ni stąd, ni zowąd zdecydować się na taki wysiłek. Podejrzewam, że od lat nie uprawiał żadnego sportu - burczała pani ordynator.

Lindy wyciągnęła się w fotelu i przymknęła powieki. Gdyby teraz zasnęła, obudziłaby się pewnie za tydzień. Tymczasem musi przecież zrobić zakupy. Najlepiej będzie, jeśli się teraz wymknie niepostrzeżenie, zanim Mike wróci z łazienki. Ryzyko, że gdy go zobaczy, ulegnie pokusie i zgodzi się na jego towarzystwo, było zbyt duże.

Jak w każdą sobotę, w supermarkecie panował tłok.

Wiele rodzin właśnie w weekendy decydowało się na poważniejsze zakupy. Wróciwszy wreszcie do domu, Lindy położyła na stole wypchane torby z uczuciem tak przemożnego zmęczenia, jakby brała dziś udział w bitwie.

Jej wzrok padł na leżący na kuchennym blacie list, który nadszedł rano. Pomyślała, że przeczyta go później, i wcisnęła kopertę do torebki. Najpierw musi pochować zakupy i posprzątać. Otworzyła lodówkę i aż podskoczyła z radości na widok leżącej na dolnej półce butelki. Całkiem o niej zapomniała. Tymczasem łyk schłodzonego wina z pewnością doda jej sił.

Z kieliszkiem w dłoni udała się do sypialni i ze zdwojoną energią zaczęła układać porozrzucone ubrania. Zadowolona, że szybko się z nimi uporała, wróciła do kuchni, pochowała zakupy i przetrła blaty wilgotną gąbką. Ułożywszy w wazonie bukietik żonkili, rozejrzała się wokół z zadowoleniem. Na szczęście doprowadzenie jej niewielkiego mieszkania do stanu używalności nie wymagało zbyt wiele wysiłku.

Kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, pomyślała z wyrozumiałym uśmiechem, że młodemu, mieszkającemu obok małżeństwu pewnie znów zabrakło cukru. Otworzyła i stanęła

jak wryta. W progu stał Michael Corrigan. Wyraz malujący się na jego zwykle pogodnej twarzy tym razem zapowiadał burzę.

- Gdzie się, do cholery, podziewasz? Szukam cię od dobrych kilku godzin. Już myślałem, że coś ci się stało.

- O co chodzi? Przecież bieg się już skończył. Byłam zmęczona, więc wróciłam do domu. Poza tym uprzedziłam cię, że jestem dzisiaj zajęta - odparła.

Targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony na widok Mike'a poczuła dreszcz podniecenia, z drugiej zaś jego zuchwałość zaczynała ją drażnić.

- Zgodziłaś się pójść ze mną na kolację. Dlaczego uciekłaś?

Twarz Lindy oblała się rumieńcem. Ton, jakim Mike się do niej zwracał, przypominał jej pretensje, które często słyszała z ust Jake'a.

- Na nic się nie zgadzałam - powiedziała stanowczo. - Mówiłam, że nie mam dziś czasu. I nie traktuj mnie, jakbym była twoją własnością.

Chciała zatrzaskać drzwi, ale Mike chwycił ją za rękę i uśmiechnął się pojednawczo.

- Może rzeczywiście wyciągnąłem pochopne wnioski, ale obiecałaś przecież, że dasz mi szansę.

Lindy westchnęła. Jego upór zaczynał ją rozbierać.

- No dobrze. Możesz wejść. Ale uprzedzam, że po dzisiejszych wyczynach po prostu padam ze zmęczenia.

- Właśnie dlatego uznałem, że gorący posiłek postawi cię na nogi - oświadczył, wchodząc za nią do kuchni.

Usiadł na krześle i przyjrzał się Lindy z uwagą.

- Wiesz, że w końcu będziesz musiała przestać.

- Przestać co?

- Będziesz musiała przestać uciekać. Nie wiem, czego się boisz, ale ja naprawdę nie jestem potworem. Na pewno nie zrobię ci krzywdy.

Mimo że poczuła zmieszanie, podniosła do góry głowę.

- Ja niczego się nie boję, doktorze Corrigan - oznajmiła. -
Może tylko ostrożnie dobieram przyjaciół.

- Nieprawda. - Wstał i położył dłonie na jej ramionach. -
To nie jest zwykła ostrożność. To lęk.

- Jak śmiesz?! - Zmierzyła go wzrokiem ciskającym błyskawice. - Nie życzę sobie żadnych uwag na temat mojego zachowania.

- Posłuchaj, Lindy - powiedział najłagodniej, jak umiał. -
Wtedy, u mnie w domu, coś się między nami pojawiło, jakieś
wzajemne przyciąganie, i cokolwiek byś teraz powiedziała,
jestem pewien, że nie byłem ci obojętny. Tylko że od tamtej
pory zaczęłaś mnie unikać. Więc chciałbym wiedzieć, czym
cię uraziłem.

Lindy z trudem panowała nad sobą. Na wspomnienie
owego popołudnia poczuła wstyd i zakłopotanie. To prawda,
że boi się zaangażować w poważniejszy związek. Być może
już nigdy nie będzie w stanie zaufać jakiemukolwiek
mężczyźnie, ale owego pamiętnego popołudnia to ona
wykazała inicjatywę. Co gorsza, przynajmniej na razie nie
może wyjaśnić mu, dlaczego tak szybko się wycofała.

- Wszyscy uczymy się na własnych błędach - powiedziała
w końcu. - Wolałabym uniknąć sytuacji, w której się kiedyś
znalazłam. Wiem, że nie powinnam robić ci nadziei. Dopiero
się poznaliśmy i moje zachowanie było nie na miejscu.

Mike roześmiał się i podniósł ręce w geście kapitulacji.

- Dosyć. Najlepiej zapomnijmy o całej sprawie i
zostańmy przyjaciółmi. Ale ręczę ci, że coś pysznego do
zjedzenia świetnie nam zrobi.

Zrozumienie, z jakim Mike przyjął jej wyjaśnienia,
rozbroiło Lindy zupełnie. Wyjęła z lodówki napoczętą butelkę
z winem.

- W takim razie może się napijemy przed wyjściem?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wpatrując się w ogień płonący na kominku w przytulnym wnętrzu niewielkiego, wiejskiego pubu, Lindy przyznała w duchu, że wypad za miasto okazał się świetnym pomysłem. Już sama przejażdżka w sielankowej scenerii okolic Manorfield znacznie ją odprężyła. Postanowiła, że w przyszłości będzie częściej robić wypad na wieś. Od dłuższego czasu, a dokładniej, odkąd poznała Jake'a, właściwie nie wytykała nosa z miasta. Były narzeczony pokazywał się z nią wyłącznie w elitarnych klubach uczęszczanych przez ludzi z odpowiednich sfer.

Popatrzyła na Mike'a, który właśnie szedł w jej kierunku z drinkami w rękach, nie zwracając uwagi na spojrzenia większości siedzących przy stolikach kobiet.

- Wiesz już, co chcesz zamówić? - zapytał, stawiając przed Lindy szklanekę. - Ja w każdym razie po dzisiejszym biegu umieram z głodu.

- Nie wiesz, ile pieniędzy udało się nam zebrać?

- Nie, ale mam nadzieję, że sporo. Byłoby okropnie, gdyby zamknęli nam szpital. Wolałbym nie stracić pracy, szczególnie teraz, kiedy poznałem tak wspaniałych ludzi. - Spojrzał na Lindy znacząco. - Ale wracając do rzeczy, polecam ci zupę z dyni i pomarańczy i pełną aromatycznych ziół zapiekanekę z ziemniaków. Zobaczysz, że kiedy to zjesz, od razu będziesz gotowa do następnego biegu.

- Akurat! Minie kilka tygodni, zanim dojdę do siebie.

Mike roześmiał się. Z przyjemnością patrzył na jej zaróżowione policzki, długie rzęsy i pełne, zmysłowe usta, które miał nadzieję całować, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Dzisiaj o mało nie zaprzepaścił na to szans. Niepotrzebnie przyparł ją do muru, wymuszając osobiste wyznania. Ale teraz wyraźnie się odprężyła i wyglądała prześlicznie z roześmianą twarzą, ubrana w jedwabną, błękitną bluzkę. Mike wiedział,

że jeśli chce ją zdobyć, jeśli chce poznać jej tajemnicę, musi wykazać cierpliwość.

- Obudź się, marzycielu - roześmiała się Lindy. - Jedzenie na stole.

- Zupa pachniała wspaniale, a własnego wypieku ciemny chleb wyglądał tak apetycznie, że Lindy rzuciła się na jedzenie, jakby od tygodnia nie miała nic w ustach.

- Nie jadłam od rana - wymamrotała z pełnymi ustami. - Normalnie tak się nie obżeram.

- I robisz błąd - odparł Mike. - W szpitalu w Nowym Jorku trzeba było wydzielić osobny oddział dla młodych dziewcząt, a nawet chłopców cierpiących na zaburzenia związane z odżywianiem. Całe ich życie kręciło się wokół tego, co zrobić, żeby uniknąć jedzenia.

Lindy przyjrzała się mu badawczo.

- Jak to się stało, że wybrałaś medycynę? Pochodzisz z lekarskiej rodziny?

- Wręcz przeciwnie! Moi rodzice nienawidzili lekarzy. Mama się ich bała, a ojciec wolał ich unikać, bo kazali mu przestać pić.

- Ale musieli być z ciebie dumni. Mike posmutniał.

- Mama ucieszyła się, kiedy powiedziałem jej, że chcę iść na medycynę, ale umarła, zanim skończyłem studia, a z ojcem straciłem kontakt.

- Więc co cię skłoniło, żeby zostać lekarzem? Telewizja, książki?

- Nie. - Powędrował myślami gdzieś daleko. - Dawno temu, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, niesamowicie zaimponował mi jeden młody lekarz. Już wtedy doszedłem do wniosku, że warto poświęcić życie pomaganiu ludziom.

Lindy popatrzyła na swego towarzysza z podziwem. Studia medyczne wymagały ciężkiej pracy i poświęcenia i mało komu udawało się je ukończyć bez wsparcia ze strony

rodziców. Tymczasem Mike musiał radzić sobie sam. Pomyślała o własnej matce. Nie o kobiecie, która ją urodziła, tylko o tej kochającej, czulej przybranej mamie, która dodawała jej otuchy od momentu, kiedy Lindy obwieściła jej, że chce pójść w jej ślady i też zostać pielęgniarką. Będzie jej za to wdzięczna do końca życia.

- O czym myślisz? - zapytał Mike, przyglądając się jej z uwagą.

- O mamie. Była taka cudowna. Po tym, jak tata został sparaliżowany w wyniku wypadku, poświęcała mu cały swój czas. Była pielęgniarką, więc się nim opiekowała. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak się ucieszyła, kiedy wybrałam szkołę pielęgniarską.

- Pewnie jeszcze w genach przekazała ci swoje zamiłowania.

- Tego to już nie wiem! - Lindy zaśmiała się w dość szczególny sposób. - Ale nie powiem, chętnie dowiedziałabym się, jakie geny odziedziczyłam po rodzicach.

- Masz rodzeństwo?

- Niestety nie. A szkoda, bo oboje rodzice nie żyją i nawet nie mam ich z kim wspominać. Zapewnili mi naprawdę szczęśliwe dzieciństwo.

Lindy ochoczo zabrała się za drugie danie, składające się z zapiekanki z ziemniaków i kruchego mięsa polanego gęstym, aromatycznym sosem. Od lat żaden posiłek aż tak jej nie smakował. Roześmiała się w duchu na samo wspomnienie wielkiego talerza z kilkoma żalonymi listkami sałaty, którymi musiała zadowolić się w towarzystwie Jacka, gdyż były narzeczony nie znosił objadających się kobiet. Jak mogła pozwolić, żeby aż tak ją zdominował?

Odchyliła się do tyłu z wyrazem absolutnego ukontentowania na twarzy.

- Było przepyszne. Ale najadłam się jak nigdy w życiu. Niczego już nie zmieszczę.

Mike uśmiechnął się z przekorą.

- Niemożliwe. Na pewno znajdziesz jeszcze miejsce na kawałek domowego ciasta.

- W żadnym wypadku, za to ty nie musisz się krępować. Przepraszam, ale muszę pójść na chwilkę do łazienki.

Kiedy wstawała od stołu, nagle otworzyła się jej torebka, a na podłogę wypadła koperta. Mike podniósł list i położył go na stole.

- Wypadło ci to z torebki - powiedział, kiedy wróciła do stolika.

- Dzięki. - Lindy schowała zgubę.

- Przepraszam, ale mimowolnie spojrzałem na adresata. Nie wiedziałem, że Lindy to zdrobnienie od Madeline. To bardzo piękne imię. Dlaczego go nie używasz?

Wzruszyła ramionami.

- W szkole pielęgniarzkiej była jeszcze jedna dziewczyna, która nosiła to imię, więc żeby uniknąć pomyłek, wszyscy zaczęli nazywać mnie Lindy. I tak już zostało.

- Ale Madeline bardziej do ciebie pasuje. Sam nie wiem dlaczego, ale zawsze wyobrażałem sobie, że dziewczyna o tym imieniu musi mieć ciemne oczy w kolorze jesiennych liści. Wiesz, że jak się uśmiechasz, zapalają ci się w oczach złotawe ogniki?

- Nie żartuj. Jeśli o mnie chodzi, to wiem tylko tyle, że mam dobry wzrok.

- Napijesz się kawy? - zaproponował Mike.

- Dziękuję, na razie naprawdę niczego nie zmieszczę. Ale zapraszam cię na kawę do siebie - powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć. Wszystko przez to wino, jęknęła w duchu. Przecież dopiero co obiecywała sobie, że już nigdy nie zaryzykuje przebywania z nim sam na sam.

Poszła do kuchni i włączyła ekspres do kawy. W szafce znalazła napoczętą butelkę brandy. Napełniła dwa kieliszki i popadła w zamyślenie. Całkiem niespodziewanie wieczór okazał się bardzo udany. Teraz Mike siedział na kanapie przed telewizorem i czekał na kawę. A za pół godziny miała przyjechać po niego taksówka.

Czekając, aż kawa się zaparzy, podniosła do ust kieliszek. Dowiedziała się dziś więcej na jego temat niż w ciągu kilku tygodni wspólnej pracy i musiała przyznać, że wzbudził w niej prawdziwy podziw. Świetnie rozumiała wrażenie, jakie musiał wyrzeć na nim przed laty ów lekarz. Kiedyś, gdy była mała, rodzice zabrali ją na turniej tenisowy. Tak się jej spodobało, że sama postanowiła zostać tenisistką i od tamtej pory trenowała regularnie, osiągając zupełnie przyzwoite rezultaty. Niestety, stara blizna na przedramieniu nieco osłabiła jej rękę, więc musiała porzucić marzenia o wielkiej tenisowej karierze. Z zamyślenia wyrwał ją głos Michaela.

- Ta kawa pachnie cudownie.

Kiedy drgnęła i odwróciła twarz w jego kierunku, Mike stał oparty o framugę z wyrazem rozbawienia w oczach.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Mogę w czymś pomóc?

Lindy znieruchomiała. Stał blisko i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że najchętniej padłaby mu w ramiona i zapomniała o bożym świecie.

- Nie, dziękuję - odparła zmienionym głosem. - Jedzenie było naprawdę wspaniałe.

- Tak jak cały wieczór - uśmiechnął się z czułością. Przez chwilę oboje stali bez ruchu, obserwując się

bacznie. Wreszcie Mike postąpił krok do przodu i przyciągnął ją do siebie. Ich usta spotkały się w namiętym pocałunku, który zdawał się trwać w nieskończoność.

- Jesteś taka piękna - szepnął później, pieszcząc delikatnie jej skórę.

Lindy odniosła wrażenie, że tonie. Nagle obudziła się w niej od dawna tłumiona zmysłowość, a w głowie zawirowało jej od nadmiaru sprzecznych uczuć. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał ją, że powinna się opamiętać. Przecież przed kilkoma godzinami sama przeproszała Mike'a za stworzenie dwuznacznej sytuacji. Jednak teraz mieszanka wina i brandy widać nadwerżyła jej instynkt samozachowawczy, bo gotowa była rzucić się razem z nim w otchłań namiętności.

Nagle Mike odsunął się na odległość wyciągniętej ręki.

- A mnie się wydawało, że życzyłaś sobie, żebyśmy pozostali przyjaciółmi - roześmiał się przekornie. - Nie sądzisz, że ta przyjaźń zaczyna posuwać się zbyt daleko? Nie chciałbym, żebyś zaczęła żałować...

Lindy nagle wróciła z obłoków na ziemię. Jak to dobrze, że Mike dał jej szansę, by się opamiętała, zanim popełni niewybaczalny błąd.

- Przepraszam - powiedziała, starając się nadać głosowi obojętny ton. - To chyba alkohol uderzył mi do głowy.

Obciągnęła bluzkę na biodrach. Co prawda owa krótka chwila odurzenia uświadomiła jej, jak cudownie byłoby się z nim kochać, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że odpowiedni moment jeszcze nie nadszedł. Byłaby nie w porządku wobec siebie i wobec Mike'a, gdyby uległa namiętności z powodu nadwerżonej przez Jake'a wiary w siebie, z powodu własnej słabości. Ostry dźwięk dzwonka przy drzwiach zaskoczył ich oboje.

- Całkiem zapomniałem, że zamówiłem taksówkę. - Mike podniósł kieliszek do ust. - Za naszą przyjaźń. - Tym razem jego wzrok był poważny. - Nie chcę, żebyś zgodziła się być ze mną tylko dlatego, że alkohol zaszumił nam w głowach, ale mam nadzieję, że zapragniesz mnie, kiedy będziemy zupełnie

trzeźwi - powiedział. - A przyjaźń to naprawdę wspaniała rzecz. Wyobraź sobie, jak miło nam będzie coraz lepiej się poznawać...

Zamknawszy za nim drzwi, Lindy rzuciła się na łóżko, po raz pierwszy od kilku tygodni czując się naprawdę szczęśliwa. Skoro Mike nie chce się spieszyć, to ona sama tym bardziej nie powinna tego robić. Jaka to przyjemna odmiana, myślała. Jake zawsze chciał mieć wszystko od razu.

Raptem zdała sobie sprawę, że dla Jake'a przyjaźń nigdy nie miała żadnego znaczenia. Jak mogła się aż tak pomylić, zakochać bez pamięci w człowieku, który co prawda umiał być czarujący, ale w rzeczywistości nigdy nie dbał o jej uczucia. Oszukał ją, przez co zachwiał jej wiarę w siebie, i właśnie tego Lindy nie potrafiła mu wybaczyć. Dopiero dziś poczuła, że zaczyna uwalniać się z pęt.

Podśpiewując pod nosem, wróciła do kuchni i umyła filiżanki i kieliszki. Kiedy jej wzrok padł na leżącą na stole torebkę, przypomniała sobie o liście. Otworzyła kopertę i zaczęła czytać. W końcu usiadła, położyła list na stole i uważnie przeczytała go po raz drugi. Z emocji zadrżały jej ręce.

Nareszcie nadeszła długo wyczekiwana odpowiedź! Serce biło jej jak oszalałe, a w ustach czuła dziwną suchość. Leżąca przed nią kartka właśnie otworzyła furtkę do największej tajemnicy jej życia. Lindy jeszcze długo siedziała bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w ścianę.

Następnego dnia miała nocny dyżur, ale cudowny wieczór, jaki spędziła z Mikiem, nastroił ją tak pogodnie, że nawet uszczypliwości ze strony Janet i opieszałość salowego nie były w stanie popsuć jej świetnego humoru.

Jedynie ów list i działania, na które się zdecydowała w związku z jego otrzymaniem, spędzały jej sen z powiek. Czy

postępuje słusznie, próbując poznać prawdę o własnej przeszłości, czy też popełnia największy błąd w swoim życiu?

Z zamyślenia wyrwał ją głos Carrie.

- Właśnie przywieźli nam pacjenta z ranami kłutymi na plecach. Doktor Corrigan prosił, żebyś przyszła mu pomóc. - Młoda kandydatka na pielęgniarkę z trudem powstrzymywała się od śmiechu. - Przepraszam, ale to naprawdę śmieszne. Zresztą sama zobaczysz.

Lindy przyjrzała się uczniowi z wyraźną dezaprobatą.

- Doprawdy nie rozumiem, jak rany kłute mogą wywołać wesołość. Bądź łaskawa przeliczyć sprzęt, a ja tymczasem sprawdzę, co się stało - powiedziała z udawaną powagą.

Fakt, uwagi Carrie były czasem zupełnie nie na miejscu i zasługiwały na reprimendę, ale w ogóle dziewczyna miała wielkie serce i stanowiła świetny materiał na pielęgniarkę. Ciekawe, co też tak ją rozśmieszyło.

Na stole w gabinecie zabiegowym leżał na brzuchu opasy, ogolony na łyso mężczyzna. Dolną część ciała przykrytą miał ręcznikiem, natomiast z kilku ran na obnażonych plecach obficie wyciekała krew. Lindy domyśliła się, że pacjent znajduje się pod wpływem alkoholu, który powodował tak znaczny upływ krwi.

- To jest pan Ian Hedges. - Mike właśnie zakończył osłuchiwanie rannego. - Został napadnięty przez wyrostków przed nocnym klubem. Na szczęście żaden z ciosów nie uszkodził mu płuc, ale utrata krwi jest dość znaczna. Pobierz krew na krzyżówkę i przygotuj mi dwie jednostki. Ian Hedges jęknął przeciągle.

- Jeszcze dorwę tych gówniarzy! Nawet nie miałem szansy któremuś przyłożyć - powiedział ochryplym głosem.

- Proszę się nie denerwować. - Lindy naciągnęła lateksowe rękawiczki i otarła krew z szerokich pleców. - Doktor Corrigan zaraz obejrzy te rany. - Zmierzyła pacjentowi

ciśnienie. - Całkiem niezłe. Sto dziesięć na siedemdziesiąt - obwieściła.

- Chyba miał pan sporo szczęścia. - Mike schował stetoskop do kieszeni. - To dość powierzchowne skaleczenia i zaraz je panu zszyjemy.

- Bogu niech będą dzięki - rzekł pacjent z westchnieniem. - Bo to był mój wieczór kawalerski. Rano biorę ślub. Spróbujcie sobie wyobrazić, co by zrobiła moja narzeczona, gdybym się nie pojawił w kościele.

Lindy zdjęła ręcznik okrywający pacjenta i omal nie przewróciła się z wrażenia. W poprzek obu pośladków pechowego kandydata na męża, pośród kwiatków i serduszek, wytatuowany był napis: „Kochaj mnie”.

- Jakie to romantyczne - zauważył Mike, starając się zachować powagę. - Obiecuję, że zrobię, co mogę, żeby powiódł pan swą wybrankę do ołtarza.

- Nigdy w życiu nie wpadłbym na pomysł, żeby umieścić sobie tatuaż na tylnej części ciała - chichotał Mike, nalewając sobie kawę w szpitalnej kuchni. - Ale może istnieją kobiety, którym by się to spodobało.

- W każdym razie nie mnie. Widać nie mogę się mierzyć z narzeczoną pana Hedgesa - roześmiała się Lindy.

- Sądząc po tym, co pokazałaś w czasie sobotniego biegu, nie ma osoby, z którą nie mogłabyś się zmierzyć. Ale a propos tego biegu. Musimy się spotkać w sprawie letniego balu na rzecz szpitala. Jutro nikt z komitetu nie ma nocnego dyżuru, więc postanowiliśmy spotkać się u mnie. Mam nadzieję, że przyjdiesz.

Jeszcze kilka dni temu nie zgodziłaby uczestniczyć w żadnych przygotowaniach. Ale dzisiaj patrzyła w przyszłość z optymizmem i perspektywa wspólnych działań zdała się jej nawet kusząca.

- A skoro już mówimy o balu, to rozumiem, że będziesz moja partnerką. Chyba że masz kogoś innego na oku. Sądzę, że spodobają ci się ludzie, którym wysłałem zaproszenia.

Raptem, zamiast naturalnego - w tej sytuacji dreszczu podniecenia, Lindy poczuła ogarniający ją lęk. Ileż to razy Jake zwracał się do niej w podobny sposób, uzurpując sobie prawo do decydowania za nią, gdzie, kiedy i w czyim towarzystwie ma się pokazać.

- Naprawdę nie musisz zabierać mnie na ten bal. To, że oboje należymy do komitetu, do niczego cię nie zobowiązuje. Zawsze mogę poprosić kogoś, żeby mi towarzyszył - odrzekła po dłuższej chwili milczenia.

- Nie wierzę własnym uszom! - Mike przyjrzał się Lindy z namysłem. - To chyba jasne, że chcę, żebyś ze mną poszła, i to nie dlatego, że jesteś w komitecie. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Lindy odgarnęła włosy z czoła i opuściła wzrok. Oczywiście, chciała iść z Michael'em na bal, ale jednocześnie czuła wewnętrzny bunt. Nie pozwoli, żeby traktował ją jak własność! Tymczasem w oczach Mike'a pojawiły się gniewne błyski.

- Znowu próbujesz uciekać, tak? - powiedział oskarżycielskim tonem. - O co ci właściwie chodzi? Może wtrącam się w nie swoje sprawy, ale mam wrażenie, że musiało wydarzyć się coś okropnego między tobą a twoim byłym narzeczoną. Nie myślę się, prawda?

Pytanie Mike'a kompletnie ją zaskoczyło. Jakim cudem dowiedział się o Jake'u?

- Narzeczoną? O czym ty mówisz? - wyjąkała.

- Mój Boże, Lindy. Przecież to widać na odległość. Nie trzeba być jasnowidzem, aby zorientować się, że ktoś cię bardzo zranił. Straciłaś wiarę, że ktoś może cię jeszcze pokochać. Już wcześniej zauważyłem, że boisz się otworzyć.

Kiedy tylko próbuję się do ciebie zbliżyć, od razu zaczynasz się chować, jakbyś nikomu nie potrafiła zaufać. Przecież ja tylko poprosiłem cię, żebyś poszła ze mną na bal, a ty od razu się przestraszyłaś.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to wcale mnie nie poprosiłeś, tylko oznajmiłeś mi, że pójdę z tobą. Chyba rozumiesz różnicę.

- Więc o to ci chodzi! - roześmiał się. - Wydaje ci się, że próbuję tobą rządzić. Chyba jednak trochę przesadzasz. Przez tego łobuza stałaś się przewrażliwiona.

Prawdopodobnie miał rację. Rzeczywiście, trudno jej było zachować obiektywizm, ale przecież zaledwie kilka tygodni wcześniej niespodziewanie poczuła się jak wyrzucona na śmietnik, zepsuta lalka. Mike najwyraźniej nie pojmował, że przez wiele miesięcy Jake był całym jej życiem.

Czy ma mu teraz powiedzieć, że okazała się tak głupia i naiwna, iż uległa czarowi takiego fircyka? Nie zdziwiłaby się, gdyby wziął ją za kompletną idiotkę.

- To prawda - odezwała się po chwili. - Jeszcze niedawno byłam z kimś związana. Rozstaliśmy się, gdyż okazał się kłamcą. Dopóki sprawy szły po jego myśli, obojętne mu było, czy sprawia komuś ból.

- Uroczy facet! - skomentował Mile spokojnie, nie spuszczać wzroku ze speszzonej twarzy Lindy. - Tylko nie rozumiem, co sprawiło, że w ogóle zaczęłaś się z nim spotykać.

- Bo kiedy chciał, potrafił być naprawdę czarujący, no i wprowadził mnie we wspaniały, elegancki świat, o którego istnieniu nie miałam nawet pojęcia - odrzekła z westchnieniem. - Wiem, że to było niemądre, ale dopóki żyła mama, większość czasu spędzałam w domu. A Jake zdawał się dawać mi to wszystko, czego mi brakowało. Całkiem zawrócił mi w głowie.

- W takim razie dlaczego się rozstaliście?

Lindy zacisnęła usta. W tej chwili nie mogła mu jeszcze tego wyjaśnić. Wspomnienie dnia, w którym dowiedziała się prawdy, nadal sprawiało jej wręcz fizyczny ból. Teraz też nawet jeszcze nie otworzyła ust, a już łzy popłynęły jej po policzkach. Mike zerwał się błyskawicznie i przytulił ją do siebie.

- Przepraszam. Nie powinienem był pytać, ale nie mogę znieść niczego, co sprawia ci ból.

Wtulona w jego silne ramiona, poczuła się bezpieczniej. Powoli zaczynała się odprężyć.

- To nie twoja wina. A jeśli chodzi o Jake'a i mnie, to po prostu powinnam była być bardziej ostrożna.

- Nie wierzę. - Ujął w dłonie jej smutną twarz. - Jesteś zbyt dobra i w pierwszym naturalnym odruchu ufasz ludziom.

- Delikatnie pocałował jej usta. - Musisz zapomnieć o przeszłości - szepnął czule.

Nieco zażenowana intymnością sytuacji, w której się nagle znalazła, odetchnęła, kiedy w kieszeni Mike'a odezwał się sygnał pagera.

- A niech to! Zapomniałem, że mam dyżur - roześmiał się. - Nie zapomnij o spotkaniu komitetu, no i pamiętaj, że naprawdę bardzo bym chciał, żebyś towarzyszyła mi na tym balu. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Lindy uśmiechnęła się słabo. Jeszcze nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła się nauczyć różnicy między łatwowiernością a wiarą w drugiego człowieka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wyjęła listy ze skrzynki i weszła do domu, zadowolona, że właśnie zakończyła ostatni w tym tygodniu nocny dyżur. Migające światełko automatycznej sekretarki poinformowało ją, że ktoś nagrał wiadomość. Miała nadzieję, że nie wzywają jej z powrotem do pracy, bo marzyła teraz tylko o tym, żeby wziąć gorącą kąpiel i porządnie się wyspać.

Czekając, aż przewinie się taśma z nagraniem, pobiegła myślami do czekającego ją wieczorem zebrania komitetu. Niepotrzebnie otworzyła wczoraj przed Mikiem serce i teraz nie bardzo wiedziała, jak powinna się zachować w jego obecności. Całe szczęście, że na dzisiejszym spotkaniu będzie kilka osób, dzięki czemu zdoła uniknąć kolejnego krępującego sam na sam.

Usiadła na kanapie i włączyła nagranie. Mimo że kobiecy głos, który popłynął z aparatu, był jej zupełnie nieznanym, od razu zorientowała się, do kogo należy. Poczowała suchość w ustach, serce zaczęło jej bić jak oszalałe.

- Wiadomość dla Lindy Jenkins. - Głos był miły, ciepły, choć jakby lekko spięty. - Mówi Angela Lovatt. Dziękuję za list. Zaproponowany termin spotkania jak najbardziej mi odpowiada. Będę czekała w przyszłym tygodniu w Apsley Grange.

Lindy wpatrywała się w aparat telefoniczny tak, jakby był żywą istotą. Po chwili przewinęła taśmę i jeszcze raz odsłuchiwała wiadomość. Teraz już nie może się wycofać. Musi stanąć twarzą w twarz z Angielą Lovatt.

Była tak przejęta, że myślała, iż w ogóle nie zaśnie. Jednak zmęczenie po nocnym dyżurze zrobiło swoje i obudziła się dopiero po sześciu godzinach, odświeżona i pełna energii.

Było piękne, majowe popołudnie, więc doszła do wniosku, że najlepiej zrobi, udając się do Mike'a na piechotę. W pół

godziny powinna dotrzeć na miejsce, a przy okazji spacer pozwoli jej uporządkować myśli.

Nie mogła się nadziwić, że jeszcze tak niedawno nie posiadała się z rozpaczy, a teraz znów z optymizmem patrzy w przyszłość. Po części zawdzięczała tę zmianę Mike'owi. Ale oparcie, jakie w nim znalazła, nie było jedynym powodem jej lepszego samopoczucia. Za kilka dni miała dowiedzieć się prawdy o swej przeszłości i mimo że trochę się tego obawiała, wiedziała, że do końca życia nie darowałyby sobie, gdyby odrzuciła możliwość zgłębienia tajemnicy okrywającej pierwsze lata jej życia.

Niewielki domek Mike'a tonął w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca. Lindy z daleka dostrzegła znajomą sylwetkę przyjaciela, który, ubrany w krótkie spodenki koloru khaki, właśnie kosił trawę. Zdziwiona, spojrzała na zegarek. Zbliżała się siódma, a najwyraźniej żaden z członków komitetu nie przybył jeszcze na spotkanie.

- Witaj! - Mike uśmiechnął się do niej z lekkim zakłopotaniem. - Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale musiałaś już wyjść z domu. Musieliśmy odwołać zebranie, bo kilka osób zostało zatrzymanych w pracy - powiedział, przyglądając się Lindy z aprobatą. - Ale to dobrze, że nie zdołałem cię złapać. Dzięki temu możemy spędzić razem dzisiejszy wieczór.

Co? Znowu ma zostać z nim sam na sam?

- Nie... Chyba wolałabym wrócić do domu. Zresztą, jak widzę, i tak jesteś zajęty. Nie będę ci przeszkadzać.

Mike zrobił urażoną minę.

- Jeśli sobie teraz pójdziesz, będę musiał się obrazić. - Otworzył furtkę i wpuścił ją do ogrodu. - Napijemy się wina, potem możemy przejść się nad rzekę, a na koniec będziesz miała okazję przekonać się, jaki świetny ze mnie kucharz.

Mimo wewnętrznych oporów Lindy musiała przyznać, że propozycja jest całkiem kusząca. Ostatnio niezbyt często zdarzało się jej wychodzić z domu.

- No dobrze, ale tylko jeden kieliszek, i zaraz wracam do siebie...

Miała zaróżowione od długiego marszu policzki, lśniące w słońcu włosy i wyglądała jeszcze bardziej pociągająco niż zwykle.

- Skoro tak, to mogę się przyznać, że skłamałem. W ogóle nie próbowałem się do ciebie dodzwonić, bo pewnie zrezygnowałabyś z przyjścia - wyjaśnił Mike i wszedł do domu.

Z trudem opanowała wzburzenie. Znowu to samo! Znowu podjął za nią decyzję i założył z góry, że skoro odwołano zebranie, i tak nie będzie miała co robić. Toteż nie podziękowała nawet, kiedy podał jej kieliszek wina.

- O co ci chodzi? Może wolałabyś napić się czegoś innego?

Lindy zanurzyła usta w chłodnym, musującym płynie.

- Naprawdę nie rozumiesz? - zapytała lodowatym tonem.
- Nie przyszło ci do głowy, że może wolałabym nie wychodzić z domu? Jestem po całej serii nocnych dyżurów, więc może po prostu miałabym ochotę dziś się wcześniej położyć. Na przyszłość bądź łaskaw zawiadamiać mnie o zmianie planów, bo nie lubię, kiedy ktoś organizuje mi życie.

Zagryzł wargi i przyjrzał się jej z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Postarajmy się nie psuć tak pięknego wieczoru. Przecież nie musisz tu długo siedzieć. W końcu oboje jesteśmy zmęczeni.

Dopiero teraz zauważyła, że po tygodniu nocnych dyżurów Mike rzeczywiście nie wygląda najlepiej. Pomyślała z zawstydzeniem, że zamiast roztkliwiać się nad sobą,

mogłaby czasem pomyśleć także o innych. Poza tym, większość kobiet na jej miejscu byłaby zachwycona dzisiejszym obrotem sytuacji. Skąd mógł wiedzieć, że sprawi jej przykrość?

- Przepraszam. Wiem, że też jesteś zmęczony. - W geście pojednania położyła mu rękę na ramieniu. - Po prostu zaskoczyła mnie ta nagła zmiana planów.

Mike tylko wzruszył ramionami i nalał jej kolejny kieliszek. Właściwie przestał się odzywać.

- To może się teraz przejdziemy - zaproponowała.

Odstawili kieliszki i ruszyli wąską ścieżką przez pola, w kierunku brzozowego lasu porastającego brzeg rzeki. Mike szedł o krok przed nią, bez oglądania się za siebie, całkiem jakby nagle zapomniał o jej obecności. Czyżby obraził się o to, że nie okazała radości, gdy powiedział jej, że będą dziś sami?

Nagle pośliznęła się na stromym zboczu i straciła równowagę. Starając uchronić się od upadku, uchwyciła się Michaela. A niech to, jęknęła w duchu. Po co w ogóle proponowała ten spacer! Mike na pewno dojdzie teraz do wniosku, że specjalnie się pośliznęła...

Poza tym, ledwie poczuła pod palcami jego rozgrzaną skórę, przeszedł ją tak silny dreszcz pożądania, że z trudem zdołała się opanować. Jakże pragnęła teraz znaleźć się w jego ramionach i połączyć w uścisku! Mike odwrócił się bez uśmiechu i położył jej dłoń na ramieniu.

- Dziwne, ale wciąż bardzo mało wiem na twój temat. Może nadszedł czas, żebyś mi coś o sobie opowiedziała.

- Zanudziłbyś się na śmierć - odrzekła, próbując ukryć zmieszanie.

- I tu się mylisz. Ciekawi mnie wszystko, co ciebie dotyczy. Pragnę cię poznać, zrozumieć, czego się boisz.

Dlaczego tak bardzo cię irytuję. Właśnie dlatego chciałem, żebyśmy razem spędzili ten wieczór.

Lindy nerwowo potarła bliznę na ramieniu.

- Wcale mnie nie irytujesz. Po prostu wolałabym, żebyś...
- Nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- Żebyś co?

- Żebyś nie zachowywał się jak Jake - powiedziała bez ogródek.

- Aż tak jestem do niego podobny? - spytał ze zdziwieniem. - Taki sam ze mnie drań?

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko czasami odnoszę wrażenie, że próbujesz narzucić mi swoje zdanie. Wiem, że jestem przewrażliwiona, ale gdybyś przeżył to co ja, pewnie też byłbyś ostrożny.

- Do jasnej cholery, Lindy! - Mike zaczynał już tracić cierpliwość. - Zaufaj mi i przestań w kółko powtarzać to samo. Czy myślisz, że jest mi przyjemnie, kiedy wszystko, co powiem, traktujesz jak dowód świadczący na moją niekorzyść? Czuję się przy tobie jak w sądzie. - Potrząsnął ją za ramiona. - Chcesz, żebym stał się kimś innym niż jestem? Wiem, że czasami mówię szybciej niż myślę, ale nigdy nie miałem zamiaru czegokolwiek ci narzucać.

Twarz Lindy poczerwieniała.

- Nic na to nie poradzę - odrzekła chłodno - że nie lubię, kiedy facet próbuje decydować za mnie, co mam robić.

Mike oparł się plecami o przydrożne drzewo i roześmiał się drwiąco.

- Wiesz, zaczynam powoli współczuć temu twojemu Jake'owi - zauważył z przekąsem. - Pewnie nieźle mu się dałaś we znaki. Jeśli się kogoś naprawdę kocha, nie wolno mu stawiać warunków. Żadna miłość tego nie wytrzyma.

Lindy nie wierzyła własnym uszom. Jak mógł powiedzieć coś tak wstrętnego?

- Nic nie rozumiesz! - krzyknęła i odwróciła się, żeby ukryć napływające do oczu łzy.

Za plecami usłyszała westchnienie, po czym Mike objął ją w pasie i obrócił twarzą do siebie.

- Więc wyjaśnij mi, co Jake takiego ci zrobił, że w każdym moim zdaniu wietrzysz jakiś podstęp?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Może rzeczywiście nadszedł czas, by opowiedzieć mu o wszystkim. - No to posłuchaj.

- Zaczekaj. Jeśli nie chcesz, nie musisz nic mówić - przerwał jej łagodnie.

- Właściwie nie mam nic do ukrycia - powiedziała ze wzruszeniem ramion. - Tylko wstyd mi, że okazałam się aż tak naiwna.

Usiadła na trawie i objęła ramionami kolana.

- Tego dnia, kiedy pojawiłeś się w szpitalu, miał się odbyć mój ślub. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej byłam zaręczona z młodym, przystojnym biznesmenem, pnącym się błyskawicznie po szczeblach kariery.

- Jak się poznaliście?

- Kiedyś trafił do nas na oddział i zaczęliśmy rozmawiać. Był czarujący i pewny siebie, ale trochę samotny. Nie znał nikogo w Manorfield, bo niedawno tu przyjechał, żeby zorganizować filię firmy, w której był zatrudniony.

- Więc nic o nim wcześniej nie wiedziałaś. Pokiwała ze smutkiem głową.

- Wtedy nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Często wyjeżdżał na różne konferencje za granicę, ale myślałam, że po prostu taką ma pracę. Byłam zachwycona, że kocham kogoś z tak zwanych wyższych sfer. - Zawiesiła głos, podniosła z ziemi zwiędły listek i zaczęła obracać go w palcach.

- I co było potem? - szepnął Mike.

- Na początku nawet bawiło mnie, że mam przy sobie silnego, dominującego mężczyznę. Wyobrażałam sobie, że zachowuje się w ten sposób z troski o moje dobro. - Westchnęła z goryczą. - Ustaliliśmy datę ślubu. Uroczystość miała być skromna, bo Jake utrzymywał, że jest wdowcem i wolałby uniknąć przepychu. Aż któregoś dnia odwiedziłam go bez uprzedzenia w biurze i zastałam tam jego żonę z dwójką dzieci. Właśnie przyleciała ze Szwajcarii. Wtedy zrozumiałam, dlaczego tak często jeździł tam w interesach.

- Dobry Boże! Co za podłość! - Mike nie posiadał się z oburzenia. - Ale łajdak!

Lindy pochyliła głowę.

- Sama jestem sobie winna. Byłam taka naiwna! Jak mogłam nie zauważyć, że jest próżnym, żądnym władzy facetem, który wymaga od kobiety bezwarunkowego uwielbienia. Nawet nie dziwiłam się, że bez przerwy odkładał ogłoszenie naszych zaręczyn na później, więc nikt nie miał pojęcia, że zamierzamy się pobrać. Ale wcale nie zdziwiłabym się, gdyby rzeczywiście zdecydował się na bigamię i się ze mną ożenił. Podejrzewam, że tylko dlatego, że niechcący dowiedziałam się prawdy, nie zostałam mężatką dokładnie tego samego dnia, w którym podjąłeś u nas pracę.

- To znaczy, że zamiast się ze mną witać, powinnaś iść w białej sukni do ołtarza. Nic dziwnego, że nie byłaś szczególnie wylewna. Ludzie pokroju Jake'a okrywają nas, wszystkich mężczyzn, złą sławą.

- Fakt, nie zachował się zbyt elegancko.

- A co teraz do niego czujesz? - zapytał po namyśle. Lindy odgarnęła włosy z czoła.

- Czy ja wiem... - odparła pozbawionym wyrazu głosem. - Chyba jeszcze nie pokonałam pewnego odrętwienia. Wiem, że mnie okłamywał, że wyrządził mi krzywdę i że powinnam jak najszybciej o nim zapomnieć, ale przecież nie jestem

maszynką, którą można po prostu wyłączyć z kontaktu. Wciąż czuję się mocno poobijana...

- A do tego masz wrażenie, że wszyscy mężczyźni są tacy jak Jake.

- Rzeczywiście, stałam się ostrożniejsza - przyznała.

- Przynajmniej czegoś się nauczyłam.

Mike pochylił się i najłagodniej, jak umiał, ujął w dłonie twarz Lindy i delikatnie pocałował ją w usta.

- Nie przykładaj tej samej miary do wszystkich, proszę - szepnął, gładząc jej szyję opuszkami palców. - Zapomnij o tym człowieku. Chcę ci w tym pomóc.

Lindy zdawało się, że słyszy w swym sercu jakiś ostrzegawczy głos, ale pocałunki były zbyt cudowne, by miała go słuchać. Nie protestowała, kiedy Mike pchnął ją na trawę i rozpiął jej bluzkę. Przemknęło jej przez myśl, że może rzeczywiście nadszedł już czas, by raz na zawsze wyrzucić Jake'a z pamięci. Wzrok, jakim Mike teraz na nią patrzył, mówił wyraźnie, jak bardzo jej teraz pragnie.

- Wierz mi, Lindy, nie ma nikogo innego, żadnej innej kobiety. Jesteś taka piękna - powiedział, chowając twarz w jej włosach. - Masz skórę miękką jak jedwab, pachniesz świeżo skoszonym sianem. Marzę tylko o tym, żebyś pragnęła mnie tak jak ja ciebie. Pozwól mi się z tobą kochać...

Lindy wtuliła się w jego szerokie ramiona, z rozkoszą poddając się pieszczotom.

- Moja piękna, cudowna Lindy...

Znowu czuła, że tonie. Jeszcze chwila, a odda mu się całkowicie, do końca, tak jak jeszcze niedawno dawała się kochać Jake'owi. Zawahała się na jeden krótki ułamek sekundy. Mike nagle otworzył oczy i z jękiem osunął się na ziemię.

- To bez sensu - szepnął. - Nie mogę tego zrobić, kiedy myślisz o innym.

- Nie rozumiem. Co się stało? - zapytała cicho. Już po raz drugi, w chwili, kiedy spełnienie zdawało się być tak blisko, Mike postanowił zachować dystans.

- Nic się nie stało. Po prostu odniosłem wrażenie, że myślisz o kimś innym.

Odwróciła wzrok. On ma rację, pomyślała, starając się ukryć zmieszanie. Tymczasem Mike podparł się na łokciu, a wolną ręką delikatnie pogładził ją po podbródku.

- Kochanie - powiedział - nie chcę cię do niczego zmuszać. Nikogo nie pragnę tak bardzo jak ciebie, ale nie posunę się do niczego, dopóki nie uzyskam pewności, że raz na zawsze wyrzuciłaś Jake'a z serca. Nie życzę sobie, żeby ktoś taki towarzyszył nam w sypialni. Tymczasem mam wrażenie, że wciąż o nim myślisz. Nawet dzisiaj porównałaś mnie do niego.

- Staram się zapomnieć, naprawdę...

- Chcę, żebyś powiedziała, że Jake przestał dla ciebie istnieć, a to, co się między wami zdarzyło, to już zamknięty rozdział. W głębi serca wiesz przecież, że to mnie pragniesz, że jesteśmy stworzeni dla siebie. Mimo to bezwiednie mnie do niego porównujesz. To psuje nasz związek.

Lindy nie odezwała się. Mike, niestety, nie mijał się z prawdą. Rzeczywiście, wciąż nie mogła zapomnieć o tamtym mężczyźnie, o krzywdzie, jaką jej wyrządził, i wciąż podświadomie bała się, że ktoś ponownie ją zrani. Oczywiście, najłatwiej byłoby teraz spełnić prośbę Mike'a i zapewnić go o rodzącym się uczuciu, tylko czy byłoby to uczciwe?

Poranny dyżur zdawał ciągnąć się w nieskończoność. Najpierw przywieziono im niemowlę, które połknęło spinkę do włosów, zaraz potem starszą panią, która zasłabła na ulicy. Zbliżało się południe, kiedy Lindy mogła pozwolić sobie na pierwszą krótką przerwę na kawę.

Wybiegła myślami do czekającego ją za dwa dni spotkania z Angelą Lovatt. Szkoda, że nie miała się komu zwierzyć z dręczących ją wątpliwości. Co prawda Mike mówił, że nie powinni mieć przed sobą tajemnic, ale z góry wiedziała, że będzie próbował wyperswadować jej tę wizytę. Czyż nie radził jej, by przestała grzebać się w przeszłości?

Na samo wspomnienie wieczoru nad rzeką poczuła, że mocniej zabiło jej serce. Zatęskniła za pocałunkami, jakimi Mike ją wtedy obsypał. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że miał rację, i powoli zaczynała wierzyć, że zdoła pokonać własne uprzedzenia. Była przecież świadoma, że jeśli się z nimi szybko nie upora, straci Mike'a na zawsze.

- Lindy, możesz zajrzeć na ortopedię? Ojciec jednego z pacjentów, niejaki pan Romoli, chce z tobą porozmawiać. - To głos Janet wyrwał ją z zamyślenia. - Chodzi o tego Włocha, na którego najechała ciężarówka do przewozu koni. Przypominasz go sobie?

- Oczywiście. Strasznie się martwił, co powiedzą rodzice, kiedy dowiedzą się, że rozbił rower, który dostał od nich na urodziny.

- Właśnie. Pan Romoli jest dyplomatą i zaraz musi wracać do Londynu. Ale przedtem chce się z tobą zobaczyć.

- Coś się stało? - Lindy była wyraźnie zaskoczona.

- Mam nadzieję, że chłopak dochodzi do siebie.

- Z tego, co wiem, czuje się lepiej. No, idź już. A jeśli po drodze spotkasz gdzieś naszego leniwego salowego, to każ mu się do mnie zgłosić, i to natychmiast.

Sam widok Mike'a pogrążonego w rozmowie z chirurgiem ortopedą, Markiem Hadfieldem, przyprawił Lindy o drżenie serca. Stali wraz z kilkoma innymi osobami przy łóżku pacjenta.

- O wilku mowa! - ucieszył się Mark, kiedy się zbliżyła. - Pamiętajś Carla? Poskładaliśmy go ślicznie do kupy, tak że za parę tygodni będzie mógł wyjść ze szpitala.

- I znowu pojeździć na rowerze - roześmiał się chłopak.

Wyglądał dziś o niebo lepiej, tylko nogę miał podwieszoną wysoko na wyciągu.

- Nie tak szybko, mój drogi. - Mark żartobliwie pogroził chłopcu palcem. - Pamiętaj, co ci mówiłem. Po zdjęciu gipsu przez dłuższy czas będziesz musiał poddawać się fizjoterapii, zanim znowu wsiądziesz na rower

- powiedział, po czym popatrzył na Lindy. - Siostra pozwoli, że przedstawię jej pana Romoli, ojca Carla. - Wskazał na niewysokiego, stojącego obok łóżka mężczyznę. - O ile wiem, nasz gość ma dla pani i doktora Corriganą pewną propozycję, która, jak sądzę, powinna się wam spodobać.

Gubiąc się w domysłach, Lindy podniosła na Mike'a zaciekawione spojrzenie. O co w tym wszystkim może chodzić? Czyżby Włoch chciał zaproponować im pracę?

Mężczyzna uklonił się z wyszukaną elegancją.

- Bardzo miło mi panią poznać, siostró Jenkins - odezwał się z charakterystycznym, nieco śpiewnym akcentem. - Chciałem przede wszystkim powiedzieć, jak bardzo jestem wam wdzięczny. Pani i doktor Corrigan uratowaliście mojemu synowi życie.

Lindy chciała wyjaśnić, że poprawa stanu zdrowia Carla jest przede wszystkim zasługą zespołu chirurgów, ale Włoch nie dopuścił jej do głosu.

- Nie bądźcie tu wszyscy tacy skromni. Sam wiem najlepiej, ile zrobiliście dla Carla! A teraz chciałem was prosić o jeszcze jedną przysługę. Ale proszę się nie obawiać - dodał szybko, zauważywszy zaniepokojone spojrzenie pielęgniarki. - Oboje z żoną chcielibyśmy w jakiś sposób okazać naszą wdzięczność, a jednocześnie zwrócić się do was o pomoc. Za

cztery tygodnie Carlo ma być wypisany ze szpitala. Upiera się, że będzie w dostatecznie dobrej formie, żeby samodzielnie wrócić do domu, ale i ja, i żona jesteśmy innego zdania. Gdyby pani i doktor Corrigan zgodzili się mu towarzyszyć w czasie lotu do Rzymu, z największą przyjemnością udostępnimy wam naszą willę w Toskanii.

Lindy nie wierzyła własnym uszom. Od lat marzyła, by pojechać do Włoch, tylko nigdy nie mogła sobie na to pozwolić.

- Ale dlaczego ja? - Ledwie panowała nad ogarniającym ją podnieceniem.

- Doktor Hadfield, niestety, nie może wyjechać ze względu na obowiązki rodzinne. Ale bylibyśmy zupełnie spokojni, gdyby pani i doktor Corrigan zajęli się naszym ukochanym synem. O ile wiem, niedługo i tak oboje państwo wybierają się na urlop. Nasz dom w Toskanii jest na tyle duży, że na pewno nie będziecie sobie przeszkadzać. Zaproponowałem doktorowi, żeby zabrał ze sobą siostrę i jej synka. Pani oczywiście też może zaprosić kogoś bliskiego.

Mike uśmiechnął się przewrotnie.

- Zapewniam pana, że panna Jenkins nie będzie nam przeszkadzać. Wręcz przeciwnie, jej obecność może tylko dodać uroku tej wyprawie.

- No więc? Co pani na to?

- Doprawdy nie wiem, co powiedzieć - wyjąkała Lindy. - To, co pan mówi, brzmi tak wspaniale, że zaczynam się obawiać, czy to nie sen.

- Jestem pewien, że będzie pani zachwycona. Dom położony jest na wzgórzu, pośród winnic i gajów oliwnych. Co prawda w czerwcu i lipcu bywa gorąco, ale mamy własny basen. Na pewno nie będziecie się nudzić.

Lindy była oszołomiona. Nieczęsto zdarzają się w życiu podobne okazje. Tylko czy nie popełni błędu, godząc się na romantyczne wakacje w towarzystwie Mike'a?

- Właściwie... Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo zawsze chciałam odwiedzić Toskanię.

- No to załatwione - rozpromienił się dyplomata. - Kiedy wrócę do Londynu, poczynię odpowiednie przygotowania. Moja sekretarka skontaktuje się z państwem - obiecał.

Perspektywa wylegiwania się nad prywatnym basenem pośród wzgórz Toskani była tak kusząca, że Lindy pomyślała, iż musiałaby być niespełna rozumu, gdyby zrezygnowała z wyjazdu. Ale też zdawała sobie sprawę, że w takiej scenerii utrzymanie znajomości z Mikiem na wyłącznie przyjacielskiej stopie będzie graniczyło z cudem.

Dreńczęce ją wątpliwości chyba nie uszły uwagi pana Romoli, który przyjrzał się jej z uwagą, po czym ujął serdecznie za rękę.

- Proszę się nie martwić - powiedział. - Dom jest naprawdę tak duży, że jeśli z jakichś względów nie będzie pani miała ochoty na towarzystwo doktora Corrigan, w ogóle nie będzie musiała pani go spotykać.

Lindy przełknęła ślinę. Ojciec Carla bezwiednie wyraził jej najskrytsze obawy. Tymczasem Mike zdawał się nie podzielać jej wątpliwości.

- Bardzo się cieszę, panie Romoli, że nareszcie będę miał okazję lepiej poznać siostrę Jenkins - oznajmił, uśmiechając się do Lindy. - Sądzę, że po dwóch tygodniach wakacji zostaniemy prawdziwymi przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lindy nie mogła doczekać się końca dyżuru. Na dziś miała już dosyć ampulek z lekami, jednorazowych strzykawek, a nade wszystko pacjentów. Jeszcze nie mogła uwierzyć, że za parę tygodni znajdzie się wśród zalanych słońcem wzgórz Toskanii. Musiała przyznać, że w tak magicznej scenerii będą mieli z Mikiem niepowtarzalną okazję, by się lepiej poznać. Może obawy, jakie początkowo wiązała z tym wyjazdem, okażą się nieuzasadnione. Trochę peszyła ją perspektywa towarzystwa siostry Michaela i małego Maxa, ale w końcu nie ma róży bez kolców.

Kiedy w dyżurce pielęgniarek rozległ się dzwonek telefonu, Lindy akurat wędrowała myślami po tokańskich bezdrożach. To Jenny Forest z rejestracji wzywała ją do kolejnego pacjenta.

Starszy pan, podtrzymywany z jednej strony przez Jenny, a z drugiej przez młodą, nieznaną Lindy kobietę, głośno domagał się odwiezienia do domu.

- Tatusiu, rozumiem, że nie znosisz lekarzy, ale przecież nie mogę pozwolić, żebyś tak cierpiał. Ktoś musi ci pomóc.

- Nigdy w życiu nie byłem w szpitalu! Nie pozwolę, żeby ktoś mnie dotykał - protestował gwałtownie mężczyzna.

Mike, który właśnie pojawił się w drzwiach gabinetu zabiegowego, błyskawicznie ocenił sytuację. Podbiegł do Jenny i przejął od niej pacjenta.

- Nie ma się czego obawiać - powiedział łagodnie.

- Proszę tylko na chwilę tu usiąść i pozwolić szybciotko się zbadać.

- To pan Cunnigham - wyjaśniła Jenny. - Córka mówi - dodała po cichu - że chory cierpi na zatrzymanie moczu.

Protestując zboląłym głosem, że właściwie nic mu nie dolega, staruszek w końcu dał się ułożyć na kozetce. Mike położył mu dłoń na ramieniu i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Niech zgadnę, panie Cunnigham - powiedział. - Założę się, że wczoraj przez cały dzień nie oddawał pan moczu, a wieczorem udał się pan na piwko. Potem poszedł pan za potrzebą, ale nic z tego nie wyszło.

Chory spojrzał na niego wzrokiem wyrażającym kompletne osłupienie.

- Skąd pan wie? - zapytał.

- To częsta przypadłość u panów w podeszłym wieku, prawda, siostrze? - Mike uśmiechnął się. - W wyniku obrzęku gruczołu prostaty następuje blokada pęcherza i stąd ten ból. W pana wieku końcówki nerwów w przewodach moczowych zaczynają tracić wrażliwość. Dlatego przez dłuższy czas nie czuł pan, że pęcherz jest pełny.

- To znaczy, że niepotrzebnie pozwoliłem sobie na ostatni kufelek? - zapytał, przyglądając się z niepokojem Lindy, która przygotowywała cewnik.

- Proszę się nie obawiać. Kiedy tylko udrożnimy panu pęcherz, od razu nabierze pan ochoty do tańca - zapewniła, przenosząc spojrzenie na córkę pacjenta, która sprawiała wrażenie równie wystraszonej jak sam chory. - Może zaczeka pani w bufecie? - zaproponowała. - To nie potrwa długo.

Gdy kobieta oddaliła się, przerażony staruszek podjął kolejną próbę uniknięcia zabiegu.

- Teraz czuję się już całkiem dobrze - upierał się. - Naprawdę wolałbym wrócić do domu.

Widząc zdenerwowanie chorego, Mike przysiadł przy nim i ujął jego pomarszczoną dłoń.

- Obiecuję, że zaraz będzie po wszystkim i poczuje się pan jak w siódmym niebie.

Kilkanaście minut później Lindy odnalazła w bufecie pannę Cunnigham.

- Za chwilę będzie mogła pani zabrać tatę do domu. Czuje się już znakomicie - powiedziała.

Kiedy parę minut później starszy pan rześkim krokiem wychodził ze szpitala, Mike uśmiechnął się do Lindy z zadowoleniem.

- Sto razy bardziej wolę leczyć takich dziadków niż szczeniaków, którzy tłuką się gdzieś po nocach - oświadczył, wyglądając przez okno na skąpany w słońcu szpitalny ogród.

- Chodźmy się przejść. Musimy porozmawiać o Toskanii.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Mike objął Lindy w pasie i ogarnął wzrokiem otaczającą ich zielen.

- Nareszcie trochę innego otoczenia - powiedział. - Czy zdajesz sobie sprawę, że przez te dwa dni, które minęły od naszego spaceru nad rzeką, marzę tylko o tym, żeby się z tobą kochać? - szepnął, muskając ustami koniuszek jej ucha.

- Zwariowałeś! - Odskokczyła na bok. - Jeszcze nas ktoś zobaczy. Chcesz, żeby cały szpital o nas gadał?

- No to co? Przynajmniej męska część personelu zaczęłaby mi zazdrościć. Tam nad rzeką odniosłem wrażenie, że robimy całkiem niezłe postępy i chciałem sprawdzić, czy nic się nie zmieniło... Sądzę, że mimo moich licznych wad moje towarzystwo nie jest ci całkiem niemiłe.

- Doprawdy? Ciekawe, jak na to wpadłeś? - spytała rozbawiona.

- No, na przykład, zgodziłaś się pojechać ze mną do Toskanii. A to znaczy - zatrzymał się i obrócił Lindy twarzą do siebie - że mamy jeszcze sporo, do nadrobienia przed wyjazdem. Musimy poznać się na tyle dobrze, że kiedy się tam znajdziemy, nikt poza mną nie będzie zaprzętał ci myśli.

- Mam nadzieję, że będzie nam tam jak w bajce - wyszeptała.

- Na pewno. - Pochylił się i pocałował ją w usta. - Obiecuję, że jeszcze przed wyjazdem pozbędziesz się wszelkich wątpliwości. A skoro o tym mowa, to poczyniłem pewne plany.

Ten jeden pocałunek wystarczył, by Lindy poczuła wzbierającą w niej falę pożądania.

- Jakże? - zapytała wesoło.

- W środę oboje mamy wolne. Pomyślałem więc, że pokażę ci jeden uroczy zakątek, który pamiętam jeszcze z dzieciństwa. Urządzimy sobie piknik i porozmawiamy o wakacjach.

Była to propozycja bez wątpienia kusząca. Cały dzień sama z Mikiem, z dala od szpitala i chorych. Szczerze żałowała, że nie może z niej skorzystać.

- Tak mi przykro, Mike, ale naprawdę nie mogę. Bardzo bym chciała, ale akurat środę mam już zajęta.

Najwyraźniej zupełnie nie spodziewał się odmowy.

- Przecież to pierwszy dzień, kiedy oboje nie musimy iść do pracy. Nie mogłaś...

- Niestety, jestem z kimś umówiona.

- Musisz to odwołać. - Oczy Mike'a pociemniały. - Posłuchaj, tak rzadko mamy okazję pojechać gdzieś tylko we dwoje. Nie uwierzę, że nie możesz zmienić planów - przekonywał.

- Naprawdę nie mogę zmienić planów...

Powoli zaczynała tracić cierpliwość. Przecież wyjaśniła mu wyraźnie, że umówiła się wcześniej. Chyba nawet Mike jest w stanie to pojąć. Samo doprowadzenie do tego spotkania wymagało od niej wielkiej odwagi. Miało stać się najważniejszym wydarzeniem jej życia i za nic w świecie nie zmierzała go odwołać.

- Nie nalegaj, bo to nic nie da. Po prostu nie mogę. Mike wzruszył ramionami i uśmiechnął się cierpko.

- Znowu to samo? Po raz kolejny próbujesz mi uciec. Boisz się zaangażować. Ja dla ciebie byłbym gotów zrezygnować niemal ze wszystkiego.

- Nic nie rozumiesz! - zawołała z wypiekami na twarzy. - Wiesz, że chcę być z tobą, szczególnie teraz, kiedy tam nad rzeką tak wiele sobie wyjaśniliśmy. Po prostu mam bardzo ważne spotkanie, którego nie mogę odwołać.

Przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Jakie? Czyżbyś umówiła się z kimś w sprawie pracy? Zamierzasz odejść ze szpitala?

- Skąd! - Jakoś nie mogła się zmusić, żeby opowiedzieć mu o wszystkim. Sprawa była zbyt osobista. Może później, kiedy pozna już prawdę...

Mike gniewnie zacisnął usta.

- Przynajmniej wiem, na czym stoję. Nie umieszczasz mnie zbyt wysoko na twojej liście, prawda?

- Jesteś śmieszny. - Teraz Lindy rozzłościła się nie na żarty. - Sam wiesz, że są sytuacje, w których nie można zachować się inaczej. Przypomnij sobie, jak za pierwszym razem sam wystawiłeś mnie do wiatru.

- To było co innego. Nie miałem wyboru.

- Ja też go nie mam.

- O ile mnie pamięć nie myli, uzgodniliśmy, że nie będziemy mieć przed sobą tajemnic - oświadczył lodowatym tonem. - Nie chcesz mi zaufać? W porządku. Zrozumiałem, że nie ma dla mnie miejsca w twoim życiu.

- Oczywiście, że jest - zachnęła się. - Niepotrzebnie to wyolbrzymiasz. Po prostu są pewne sprawy, o których wolałabym na razie nie rozmawiać. Jak możesz być tak despotyczny?

Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Lindy pomyślała, że od początku miała rację. Mike był łagodnym, dobrym i czułym człowiekiem, ale jedynie dopóty, dopóki nie próbowała się mu przeciwstawiać. Mimo to nie miała teraz ochoty na kłótnię.

- Może pojedziemy tam innym razem? - zaproponowała pojednawczo.

- Zobaczymy - odrzekł niechętnie. - Do widzenia - dodał i szybkim krokiem oddalił się w kierunku szpitala.

Lindy patrzyła na niego z mieszaniną żalu i wściekłości. Tak bardzo pragnęła jego miłości. Ale czy mogła pozwolić, by traktował ją tak, jakby była jego własnością? O nie, doktorze Corrigan. Dopóki nie zrozumie pan, że mam prawo do własnego życia, nie będzie dla nas przyszłości.

Mike opadł ciężko na krzesło i utkwiał wzrok w ścianie. Czy kompletnie postradał już rozum? Dlaczego, na Boga, niczym ostatni samolub domagał się, by Lindy zmieniła dla niego swoje plany? Jakim prawem założył z góry, że i z radością przystanie na propozycję wyjazdu za miasto? Nic dziwnego, że się zezłościła, myślał, przeklinając się w duchu za własną impulsywność. Wiedział przecież, że ma do czynienia z dziewczyną, która niezwykle wysoko ceni sobie niezależność.

Próbował skoncentrować się na lekturze fachowego artykułu, który zamierzał dziś przestudiować, ale mimowolnie wracał myślami do dzisiejszej rozmowy z Lindy. Ogarniał go coraz silniejszy wstyd za własne, nierozważne słowa. Fakt, że poczuł się rozczarowany, gdy powiedziała, że nie może mu towarzyszyć, w najmniejszym stopniu go nie usprawiedliwiał.

Jestem kompletnym durniem, uznał z westchnieniem. A wszystko już zaczynało się tak dobrze układać! Lindy wyraźnie odwzajemniała jego uczucia i powoli przestawała rozmyślać o krzywdzie, jaką wyrządził jej Jake. A do tego niedługo mieli spędzić razem wakacje we Włoszech.

Nigdy nie darowałby sobie, gdyby na skutek jego dzisiejszego zachowania zmieniła plany.

Zerwał się z krzesła i podszedł do okna. Zabierze w środę siostrę i Maxa na kręgle. Zawsze to lepsze niż siedzenie w

domu z głębokim poczuciem winy. A jeśli chodzi o Lindy, to i tak nie pozwoli jej odejść. Musi ją jak najszybciej przeprosić. Przy najbliższej okazji obieca jej, że nigdy więcej tak się nie zachowa.

Jechała długą, wysadzaną lipami aleją w kierunku obszernego domu na wzgórzu. Z emocji zaciskała kurczowo dłonie na kierownicy i coraz częściej nerwowo przełykała ślinę. Może popełnia błąd, próbując zgłębić tajemnice przeszłości? Może już do końca życia nie przestanie żałować dzisiejszego spotkania?

Zaparkowała samochód na wysypanym żwirem podjeździe i rozejrzała się wokół. Nie mogła uwierzyć, że Angela Lovatt mieszka w tak pięknym, otoczonym starodrzewiem dworku.

Podeszła do drzwi i z bijącym sercem nacisnęła staroświecki, mosiężny dzwonek.

Z wnętrza domu dobiegł ją odgłos szybkich kroków. Jeszcze chwila i w progu ukazała się szczupła kobieta o ciemnych włosach, ubrana w nienagannie skrojone kremowe spodnie i żakiet.

- Jestem umówiona z Angelą Lovatt - wykrztusiła Lindy.

Nieznajoma uśmiechnęła się przyjaźnie.

- To ja. A pani pewnie nazywa się Lindy Jenkins, prawda? - zapytała po chwili wahania.

Przez kilka sekund przyglądały się sobie w milczeniu.

- Angelo... - Lindy pierwsza przerwała ciszę. - Jestem twoją córką.

Kobieta jeszcze przez chwilę trwała w bezruchu, po czym wyciągnęła przed siebie ręce i przytuliła Lindy do siebie. Po jej twarzy popłynęły łzy.

- Moje drogie dziecko - szepnęła. - Nawet nie wiesz, jak marzyłam, żeby kiedyś usłyszeć te słowa.

A potem wszystko potoczyło się jak we śnie, rozmyślała Lindy w drodze powrotnej do Manorfield, nie posiadając się

ze szczęścia, że zdobyła się na odwagę i złożyła rodzonej matce pierwszą w życiu wizytę.

Angela okazała się ucieleśnieniem jej - najskrytszych marzeń. Tak właśnie Lindy od lat wyobrażała sobie mamę. Jako piękną, pełną wdzięku, pogodną kobietę.

Początek rozmowy był dla Angeli chyba równie trudny jak dla niej samej. Przecież nie widziała córki od dwudziestu lat. Pewnie dlatego, gdy obie usiadły we wspaniałym salonie, Angela tak długo nie odrywała wzroku od jej twarzy.

- Dlaczego postanowiłaś mnie odnaleźć, Madeline? - zapytała w końcu.

- Kiedy mieszkaliśmy razem z moją przybraną matką, nie robiłam żadnych prób w tym kierunku, bo nie chciałam jej ranić. Była cudowną osobą i bałam się, że zaczniesz się martwić, że nie zdołała dać mi wszystkiego, czego pragnęłam. Umarła rok temu i od tamtej pory stale prześladowała mnie myśl, że powinnam cię odnaleźć i dowiedzieć się więcej o sobie. - Lindy podniosła na matkę onieśmiałe spojrzenie. - Jednocześnie czułam lęk, bo zdawałam sobie sprawę, że mogę postawić wiele osób w niezręcznej sytuacji.

Angela ujęła w dłonie ręce córki.

- Tak się cieszę, że jednak zdobyłaś się na odwagę. Nigdy nie ukrywałam prawdy przed mężem. Ojej! - roześmiała się. - Właśnie uświadomiłam sobie, że Bernard jest twoim ojczymem. W każdym razie, kiedy mieliśmy się pobrać, powiedziałam mu, że w wieku siedemnastu lat urodziłam córeczkę i oddałam ją do adopcji. - Zawiesiła głos i przez chwilę nerwowo przesuwiała pierścionki na długich, szczupłych palcach. - O niczym tak nie marzyłam, jak o tym, żeby cię odnaleźć, ale oboje z mężem rozumieliśmy, że pierwszy krok musi należeć do ciebie.

Siedziały naprzeciw siebie, chyba nadal nie mogąc uwierzyć, że nareszcie znowu są razem. Wreszcie Lindy zdecydowała się zadać dręczące ją od lat pytanie.

- Dlaczego zdecydowałaś się mnie oddać?

- Wierz mi, kochanie, że była to najtrudniejsza decyzja w moim życiu - odrzekła Angela drżącym ze wzruszenia głosem.
- Twój ojciec był najbliższym przyjacielem moich rodziców, którzy nigdy by mu nie darowali, że nadużył ich zaufania i uwiódł im córkę. Wkrótce po tym, kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży, zginął w wypadku samochodowym. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Twój dziadkowie byli ludźmi bardzo surowych zasad i nie mogłam im o niczym powiedzieć. W końcu postanowiłam wyjechać na studia i potajemnie urodzić dziecko.

- Musiałaś czuć się potwornie samotna - wyszeptała Lindy z oczami mokrymi od łez. - Jak sobie poradziłaś?

Angela pokiwała głową ze smutkiem.

- Rzeczywiście nie miałam nikogo. Co prawda istniały już wtedy nieliczne agencje, które pomagały samotnym matkom, ale było ich zdecydowanie mniej niż teraz. Mimo to byłam gotowa na wszystko, żeby cię tylko nie stracić, ale życie czasem płata nam okrutne figle.

- Coś się stało?

- Po porodzie ciężko zachorowałam i długo leżałam w szpitalu. Rodzice, oczywiście, dowiedzieli się o wszystkim. Nalegali, żeby cię oddać do adopcji, ale nie chciałam się zgodzić. Właściwie od tamtej pory przestałam ich widywać. Jednak wciąż byłam za słaba, żeby się tobą zająć, aż w końcu postanowiłam, że oddam cię pod opiekę, dopóki sama nie stanę na nogi. Na początku w ogóle nie brałam pod uwagę adopcji, dlatego wysłałam cię do Oaklands Home i odwiedzałam przy każdej sposobności.

- Pamiętam ten dom. Miałam tam wypadek. - Lindy odsłoniła bliznę na ręku.

- Biedactwo. - Angela z czułością pogładziła zgrubienie na skórze córki. - Chcesz wiedzieć, co było dalej? Po pewnym czasie zdałam sobie sprawę, że nie potrafię ci stworzyć rodziny, bo mimo usilnych starań wciąż nie udawało mi się wyjść na prostą. Zgodziłam się na adopcję, mimo że o mało nie umarłam z rozpaczy. - Popatrzyła na Lindy tkliwym wzrokiem. - Mogę być twoim rodzicom tylko wdzięczna za to, co dla ciebie zrobili. Z mojej małej, ślicznej dziewczynki wyrosła piękna, wykształcona kobieta. Nie domyślasz się nawet, jak jestem z ciebie dziś dumna.

Lindy poczuła nagły przyptyw ciepłych uczuć w stosunku do siedzącej naprzeciwko kobiety, którą dopiero poznała, mimo że myślała o niej przez całe życie. Podniosła się i pocałowała Angelę w policzek.

- Szczęściara ze mnie. Miałam dwie cudowne mamy - oświadczyła.

Od strony drzwi dobiegło ciche chrząknięcie. Lindy odwróciła głowę i ujrzała w drzwiach wysokiego mężczyznę o szlachetnych rysach, który przyglądał się im z lekkim niepokojem.

- Mogę wejść? - zapytał.

Angela zerwała się z miejsca i pociągnęła córkę za rękę w kierunku nieznanego.

- Bernardzie, pozwól, że przedstawię ci Madeline, moją małą córeczkę, o której ci tyle opowiadałam.

Ciepły uśmiech rozjaśnił twarz mężczyzny. Przywitał się z Lindy z nieskrywanym wzruszeniem.

- To dla nas piękny dzień, proszę mi wierzyć.

- Jesteśmy małżeństwem od piętnastu lat - wyjaśniła Angela. - Bernard był moim szefem w firmie architektonicznej. Przez jakiś czas uwielbiałam go na

odległość, bo nawet nie śmiałam śnić, że tak przystojny kawaler zwróci na mnie uwagę.

- Specjalnie udawałem, że cię nie zauważam, żeby bardziej ci na mnie zależało! - Roześmiał się, po czym przeniósł spojrzenie na Lindy. - Dzień, w którym poprowadziłem twoją matkę do ołtarza, był najszczęśliwszym dniem w moim życiu - dodał z powagą. - Nie pamiętam, żebyśmy się choć raz pokłócili.

Lindy spojrzała matkę i ojczyrna z zazdrością. Stanowili piękną parę, darzącą się prawdziwą miłością i bezgranicznym zaufaniem. Tak właśnie powinno wyglądać szczęśliwe małżeństwo, pomyślała, zastanawiając się, czy ona z Mikiem mają choćby cień szansy na osiągnięcie podobnego stanu.

- Macie własne dzieci? - zapytała po chwili. Małżonkowie popatrzyli po sobie z odrobiną smutku.

- Niestety, nie mogę mieć więcej dzieci. Staraliśmy się, ale bez skutku - wyjaśniła Angela.

- Do dzisiaj! - Bernard roześmiał się serdecznie. - Bo coś mi się wydaje, że właśnie zawitała do nas tak długo oczekiwana córka.

Lindy nawet nie obejrzała się, kiedy nadszedł wieczór. Mimo nalegań gospodarzy, by została na noc, musiała się pożegnać.

- Naprawdę nie mogę. Z samego rana zaczynam dyżur - wyjaśniła.

- Ale w następny weekend znowu nas odwiedź. Mamy sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Poza tym to przecież twoje urodziny! - Angela spojrzała na nią błagalnie. - Od wielu lat był to dla mnie najsmutniejszy dzień w roku. Ale teraz, jeśli choć parę godzin uda się nam spędzić razem, będzie to dzień najszczęśliwszy. Obiecuj, że przyjedziesz po pracy. Z Manorfield jest do nas przecież tylko trzydzieści kilometrów.

Oczywiście, nie mogła im odmówić, i nie chciała tego robić. A teraz, nie posiadając się ze szczęścia, wracała krętą drogą do domu, myśląc o tym, że poznała dwoje wspaniałych ludzi, którzy odtąd mieli stać się częścią jej życia.

Dopiero wspomnienie nieprzyjemnej rozmowy z Mikiem trochę popsło jej humor. Bez wątpienia miała rację, ukrywając przed nim, dlaczego nie mogła wyjechać z nim za miasto. Przecież równie dobrze spotkanie z matką mogło przynieść rozczarowanie, o którym wołałaby jak najszybciej zapomnieć.

Natomiast teraz, gdyby się nie pokłócili, z radością opowiedziałaby mu w szczegółach o tym, jak po latach odnalazła rodzinę. Jednak zachowanie Michaela znów obudziło w Lindy ostrożność. Może jednak nie powinna z nim jechać do Włoch?

Mike wyciągnął się na kanapie, trzymając w ręku szklanekę whisky. Spędził z siostrą i Maxem całkiem przyjemny dzień i gdyby nie dręczące go wyrzuty sumienia, nie miałby powodów do narzekań.

Przełknął odrobinę złocistego płynu i popadł w odrętwienie. Kochał Lindy jak nikogo innego na świecie, a mimo to, ledwie zaczęła odzyskiwać wiarę w ludzi, okazał jej prostacki wręcz brak szacunku. Tak, musi ją jak najszybciej przeprosić, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Tylko że rano do szpitala ma przyjechać ekipa lokalnej telewizji, by przeprowadzić z nim wywiad na temat przyszłości szpitala, a po południu Lindy wybiera się na jakieś szkolenie. Ale nie ma rzeczy niemożliwych, pomyślał. Jakoś będzie musiał sobie poradzić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obszerny wiktoriański hol szpitala Świętego Łukasza przypominał ogromną scenę. Telewizyjna kamera ustawiona u stóp szerokich schodów skierowana była na reporterkę lokalnej telewizji, Tessę Martin, która przygotowywała się właśnie do przeprowadzenia kolejnego wywiadu. Kable wiły się po kamiennej podłodze niczym węże, a nad głowami zebranych wisiały liczne, nieobecne tu wcześniej mikrofony. Kilkoro pracowników szpitala zebrało się przed dużym, umieszczonym w rogu holu monitorem, na którym mogli obserwować przebieg nagrania,

Lindy szczególnie rozbawił widok Jacka Hulse'a, który, przyczesawszy starannie włosy, opowiadał reporterce z przejęciem, jak odpowiedzialna jest praca salowego. Jednak absolutną gwiazdą programu okazał się doktor Michael Corrigan, którego pojawienie się na schodach wywołało prawdziwy entuzjizm wśród zebranych przed monitorem kobiet.

- Chyba przeniosę się na oddział nagłych wypadków - powiedziała omdlewającym głosem jedna z nieznanych Lindy pielęgniarek.

Rzeczywiście, ze stetoskopem zawieszonym na szyi, Mike robił wrażenie, jakby właśnie wrócił z planu telewizyjnego serialu. Jego szeroki uśmiech i błyszczące oczy wyglądały na ekranie jeszcze atrakcyjniej niż w rzeczywistości. Lindy przymknęła powieki. Czy to możliwe, że jeszcze nie tak dawno właśnie z tym mężczyzną całowała się nad rzeką? Na samo wspomnienie tych cudownych chwil oblała się rumieńcem. Szkoda, że ostatnia rozmowa bez wątpienia wycisnie piętno na ich stosunkach. Lindy obawiała się, że nawet trudno im przyjdzie teraz z sobą pracować.

- Przepraszam, możemy chwileczkę porozmawiać? Głos młodej dziewczyny z telewizyjnej ekipy wyrwał

Lindy z zamyślenia.

- Nazywam się Sandy Lockwood i jestem kierowniczką planu. Doktor Corrigan powiedział, że pracujecie razem na oddziale nagłych wypadków i oboje jesteście członkami komitetu prowadzącego zbiórkę pieniędzy na rzecz szpitala. Dlatego uważa, że powinna pani wziąć udział w nagraniu.

Lindy obrzuciła Mike'a lodowatym spojrzeniem.

- Nie sądzę, żebym powiedziała wam coś nowego. Tylko powtarzałabym jego słowa - odrzekła, kipiąc ze złości. Typowe, pomyślała. Nawet nie raczył zapytać, czy mam ochotę wystąpić w telewizji.

- Ale wymiana zdań między lekarzem a pielęgniarką na temat wspólnej pracy i powodów, dla których staracie się uratować szpital przed zamknięciem, będzie dla na -

szych widzów interesująca - nalegała dziewczyna. - A poza tym, pani oczy i włosy będą się świetnie prezentować w telewizji. Razem z doktorem Corriganem zrobicie prawdziwą furorę.

Lindy zaczerwieniła się z zażenowania, zwłaszcza że Mike przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku. Chciała zaprotestować, ale Tessa Martin najzwyczajniej w świecie objęła ją w pól i wepchnęła przed kamerę.

- Oto stoją przed nami doktor Mike Corrigan i siostra Lindy Jenkins, para bohaterów z nagłych wypadków, oddziału, na którym medycyna dokonuje cudów. To właśnie tu, dzień w dzień i noc w noc, trafiają zakrwawione ofiary wypadków z Manorfield i okolic.

Słuchając pełnych patosu słów reporterki, Lindy z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Domyślam się, że na tym oddziale szczególne znaczenie ma dobra współpraca między poszczególnymi członkami zespołu?

- Oczywiście. Stanowimy bardzo zgrany zespół - odparła Lindy.

- O ile mi wiadomo - Tessa przeniosła spojrzenie na Mike'a - przed przyjazdem do Manorfield pracował pan, doktorze, w Nowym Jorku. Czy praca w szpitalu Świętego Łukasza bardzo się różni od tego, co robił pan w Ameryce?

- Co prawda szpital w Manorfield jest nieco mniejszy, ale jego znaczenie dla miejscowej społeczności trudno jest przecenić. Udało nam się zebrać już trzy czwarte sumy potrzebnej, żeby uchronić go przed zamknięciem. Resztę mamy nadzieję uzyskać od przedstawicieli tutejszego biznesu.

- Przypuszczam, że jako lekarz z tak bogatym doświadczeniem został pan powitany z otwartymi rękami.

- Rzeczywiście, spotkałem się z niezwykle życzliwym przyjęciem - odrzekł Mike, rzucając Lindy przelotne spojrzenie nad głową reporterki. - Czasem zdarza mi się strzelić jakąś gafę, ale z reguły udaje mi się to jakoś naprawić. Serce Lindy zabiło mocniej. Czyżby w ten zawoalowany sposób Michael próbował ją przeprosić?

- A czy w waszym wypełnionym pracą świecie jest jeszcze miejsce na, powiedzmy, kontakty towarzyskie? Czasem słyszy się, że lekarze i pielęgniarki prowadzą niezwykle bujne życie.

Twarz Lindy oblała się purpurowym rumieńcem. Na szczęście Mike zachował zimną krew.

- Nie twierdzę, że nie mamy pokus, ale pacjenci są zawsze na pierwszym miejscu, przynajmniej w szpitalu, prawda, siostrzo? - powiedział, uśmiechając się przewrotnie.

Lindy odetchnęła, kiedy nagranie wreszcie dobiegło końca. Nareszcie będzie mogła napić się kawy i wziąć do pracy. Jednak zanim zdążyła się oddalić, Mike położył jej dłoń na ramieniu.

- Muszę z tobą porozmawiać. I to jak najszybciej - odezwał się z przejęciem.

- Nie tutaj - zaprotestowała. - Za dużo tu ludzi. Niechętnym wzrokiem ogarnął otaczający ich tłum.

- Masz rację, trudno tutaj o spokój. W takim razie przyjdź za parę minut do mojego gabinetu, proszę. Muszę ci coś koniecznie wyjaśnić.

Zacisnął dłonie na jej ramionach, jakby chciał przyciągnąć ją do siebie.

- Dobrze, ale tylko na chwilę - odparła, wyzwalając się z uścisku.

Czekał na nią oparty o biurko, a gdy weszła, zamknął za nią drzwi.

- Mam nadzieję, że nie potrwa to długo, bo zaraz ktoś może tu wejść.

- Nie obawiaj się, wywiesiłem na drzwiach tabliczkę z napisem „Szkolenie personelu. Nie przeszkadzać”, więc powinniśmy mieć trochę czasu. Lindy, musimy o tym wszystkim porozmawiać - rzekł z powagą. - Nasze ostatnie spotkanie zakończyło się dość nieprzyjemnie. Byłaś na mnie zła.

Wzruszyła ramionami.

- Nie bez powodu. Poza tym to ty pierwszy się wściekleś, bo nie chciałam zmienić wcześniejszych planów. Chyba zgodzisz się, że mam prawo decydować o swoim życiu, prawda?

- W porządku, zachowałem się okropnie. Nie chciałem ci niczego narzucać. Chciałem tylko, żebyśmy mogli spędzić razem cały dzień, a nie tylko godzinę czy dwie po pracy, kiedy padamy ze zmęczenia. Rozumiesz?

Chwycił ją za dłonie i ledwie się powstrzymała, by nie przytulić się do niego i zapomnieć o bożym świecie. Tylko

czy tak ma wyglądać jej życie? Ma słuchać wyrazów skruchy i zajmować się darowaniem Mike'owi winy?

Cofnęła się o krok i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Przywykłeś do tego, że to ty decydujesz o wszystkim, prawda?

Uśmiechnął się słabo.

- Uprzedzałem cię przecież, że jestem impulsywny. Czasem palnę coś, zanim zdążę pomyśleć.

- Tyle że ja nie muszę się na to godzić. Nie znoszę, kiedy mi się rozkazuje. Tymczasem dzisiaj nawet nie raczyłeś zapytać, czy chcę wystąpić przed kamerą.

- To nie miało nic wspólnego z nami - odparował.

- Chodziło przecież o szpital.

- Mimo to wolałabym móc sama dokonać wyboru. Mike podniósł ręce w geście kapitulacji.

- W porządku, poddaję się. Ale jeśli chodzi o tamten dzień, to po prostu żał było mi czasu, który mogliśmy spędzić razem. Wiem, że zachowałem się nieelegancko, ale, na Boga, dopiero co umówiliśmy się, że powinniśmy się lepiej poznać przed wyjazdem do Włoch.

- To może w ogóle nie powinniśmy tam razem jechać - parsknęła. - Mam nadzieję odpocząć w czasie urlopu, zamiast słuchać cudzych rozkazów.

- Nie ośmieliłbym się ci rozkazywać - zapewnił żarliwie, chwytając ją za ramiona. - Będiesz zupełnie ode mnie niezależna, obiecuję. Wyobraź sobie tylko te wzgórza i błękitne niebo Toskanii...

Lindy poczuła nagły przypływ tęsknoty. Najchętniej by mu teraz wybaczyła i opowiedziała, jak wczoraj odnalazła matkę. Jednak i tym razem zdołała się oprzeć pokusie. Nie, doktorze Corrigan, tak łatwo ci ze mną nie pójdzie.

Kiedy ciszę przeszył ostry dzwonek telefonu, z ulgą podniosła słuchawkę. Przynajmniej na razie nie musi podejmować ostatecznej decyzji.

- Ach, to ty - zdziwiła się Janet. - Mogłabyś poszukać Mike'a i poprosić go, żeby zbadał piętnastoletnią pacjentkę w czwórce? Narzeka na ból brzucha. Nazywa się Mary Percival.

- Zdaje się, że musimy już zakończyć „szkolenie”. Janet prosi cię do czwórki.

- Szlag by to trafił. Czy już nigdzie nie można spokojnie porozmawiać? - mruknął Mike, kierując się do wyjścia.

Dziewczynka była mocno wystraszona, za to jej matka robiła, co mogła, by nie okazać niepokoju. Sprawiała wrażenie rozsądnej, twardo stąpającej po ziemi kobiety. Lindy pomyślała, że pewnie należy do tej kategorii matek, które chętnie udzielają się w szkole.

- Przywiozłam Mary prosto z meczu siatkówki - wyjaśniła. - Nauczyciel podejrzewał, że to może atak wyrostka robaczkowego, ale to niemożliwe, bo kilka lat temu miała wyrostek usunięty.

Mike uważnie przyjrzał się leżącej na kozetce dziewczynie, której pobladłą twarz pokrywały kropelki potu.

- Chciałbym porozmawiać z Mary i ją zbadać. - Uśmiechnął się uprzejmie do matki pacjentki. - Może zechciałaby pani poczekać w rejestracji? Proszę się napić herbaty i nieco odprężyć.

Nastolatka z jękiem chwyciła kobietę za rękę.

- Mamo, nie zostawiaj mnie. Tak bardzo mnie boli. Mike spojrzął na Lindy znacząco. Oboje wiedzieli, że młodym dziewczętom często trudno przychodzi mówienie prawdy w obecności rodziców.

- Nie bój się, Mary. - Lindy łagodnie pogładziła dziewczynę po policzku. - Niebawem ustalimy, co ci dolega. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak dokładnych informacji mogą

dostarczyć nam wyniki badań. Ale rzeczywiście lepiej będzie, jeśli pozwolisz mamie teraz wyjść. Tylko na chwilę, obiecuję.

Nutka stanowczości w głosie pielęgniarki sprawiła, że pani Percival ucałowała córkę i posłusznie opuściła pomieszczenie. Mike podziękował Lindy wzrokiem, po czym skupił uwagę na nastolatce.

- Muszę teraz zbadać ci brzuch, ale postaram się nie sprawić ci dodatkowego bólu. Mogłabyś przynajmniej na chwilę wyprostować nogi?

- Boję się - szepnęła dziewczyna. - Jeszcze nigdy mnie tak nie bolało.

- Wiem, wytrzymaj jeszcze chwilę. - Mike w skupieniu badał brzuch dziewczyny. W końcu wyprostował plecy i okrył pacjentkę kocem. - Oczywiście, możemy poddać cię badaniu USG, żeby sprawdzić, czy to przypadkiem nie torbiel jajnika, ale najpierw chciałbym wykluczyć inne możliwości. Zauważyłem, że właśnie masz okres. Nie przypominasz sobie, kiedy miałaś poprzedni? - zapytał tak profesjonalnym tonem, że dziewczyna nie poczuła ani odrobiny skrępowania.

- Dwa albo trzy tygodnie temu. Ale nigdy mnie aż tak nie bolało w czasie okresu.

- Bo też wydaje mi się, że przyczyna leży gdzie indziej - oznajmił Mike, patrząc znacząco na Lindy. - Mary, powiedz mi szczerze - poprosił łagodnie - czy istnieje możliwość, że jesteś w ciąży?

- Oczywiście, że nie. Przecież skoro mam okres, nie mogę być w ciąży, prawda?

Mike nieznacznie skinął na Lindy, która natychmiast przysiadła na kozetce i ujęła w dłonie rękę pacjentki.

- To wcale nie musi być normalny okres. Niewykluczone, że krwawienie pochodzi z jednego z jajowodów.

- Ale dlaczego?

- Zdarza się, że zapłodnione jajo zagnieżdża się właśnie w tym miejscu, a kiedy zaczyna rosnać, uszkadza otaczającą je tkankę. Dlatego musimy koniecznie ustalić, czy jesteś w ciąży. Możemy to sprawdzić poprzez badanie moczu i USG.

- Obawiamy się, że przyczyną twoich dolegliwości - wtrącił Mike - może być ciąża pozamaciczna. Czy istnieje taka możliwość, Mary?

Dziewczyna usiadła na kozetce z twarzą wykrzywioną grymasem bólu.

- Tak - wyszeptała ledwie słyszalnym głosem. - Ale nie przypuszczałam, że tak łatwo jest zajść w ciążę. My tylko raz... - Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

- Mary, wiem, że będzie ci trudno - rzekła Lindy, podając nastolatce papierową chusteczkę - ale musimy powiedzieć twojej mamie...

- Nie! - krzyknęła dziewczyna histerycznie. - Ona dostanie szału. Błagam, nie mówcie jej... - łkała.

- Posłuchaj. - Lindy przytuliła ją z czułością. - Niezależnie od tego, co się stało, jestem pewna, że mama jakoś się z tym pogodzi. Przede wszystkim będzie chciała, żebyś wyzdrowiała.

- Miała do mnie zaufanie, wytłumaczyła mi wszystko o seksie i innych sprawach. A ja ją tak zawiodłam... - Mary odwróciła mokrą od łez twarz.

- Pójdę zadzwonić na ginekologię, żeby przygotowali dla Mary łóżko - szepnął Mike do Lindy. - Świetnie ci idzie. Nie przestawaj do niej mówić.

Lindy sama nie rozumiała, czemu pochwała ze strony Mike'a sprawiła jej w tej chwili tak wielką przyjemność. Może dlatego, że zawsze uważała go za kompetentnego lekarza?

- Posłuchaj, Mary. - Ponownie skupiła uwagę na pacjentce. - Nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności, że to rzeczywiście ciąża. Ale jeśli tak, to potraktuj to jako lekcję, z

której powinnaś wyciągnąć wnioski. - Ujawszy w dłonie twarz nastolatki, popatrzyła jej głęboko w oczy. - Twoja mama będzie chciała dowiedzieć się, co ci jest. Chcesz, żebym to ja jej powiedziała?

- O, tak. Sama chyba bym się nie odważyła.

Tak jak Lindy przypuszczała, pani Percival dość szybko ochłonęła z pierwszego szoku i uznała, że najważniejsze jest zdrowie córki.

Kiedy Mary została zabrana na ginekologię, Lindy udała się do dyżurki pielęgniarek i przysiadła, by chwilę odpocząć po porannych przeżyciach. Rozmowa z Mikiem wywołała w niej mieszane uczucia. Z jednej strony próbował przeprosić ją za własne grubiaństwo, ale z drugiej upierał się, że jego zachowanie było po części usprawiedliwione. Mimo to Lindy coraz bardziej pragnęła znaleźć ukojenie w jego ramionach, czuć dotyk jego dłoni na swojej skórze. Pomyślała, że chyba trochę przesadza, porównując go bez przerwy do Jake'a.

- Lindy, jakiś pacjent chce się z tobą widzieć. - Jenny Forest z rejestracji wetknęła głowę do dyżurki. - Mogłabyś go uciszyć, bo się strasznie awanturuje, że musi czekać. Ma zwichniętą nogę, więc po wstępnym badaniu został umieszczony na liście oczekujących, ale chyba myśli, że po znajomości załatwisz mu przyjęcie poza kolejnością.

- Jak się nazywa? - zapytała Lindy, zastanawiając się, kto ze znajomych ma czelność niepokoić ją w takiej sprawie.

- Burton. Jake Burton.

Twarc Lindy nagle przybrała kolor purpury.

- Co? Jake Burton?

- Aha. Znasz go?

- I to aż za dobrze. Wprost nie mogę się doczekać, żeby go znowu zobaczyć!

Lindy pomaszerowała w kierunku rejestracji, czując, że krew się w niej gotuje. Jak człowiek, który jeszcze kilka

tygodni temu miał pojąć ją za żonę, ma czelność prosić ją o pomoc! I do tego w jakiej sprawie!

- Witaj, Jake. Podobno chciałeś się ze mną widzieć? - rzekła z udawanym spokojem.

Na jej widok twarz mężczyzny w eleganckim garniturze rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

- Lindy! Jak miło cię znowu zobaczyć. Wiedziałem, że zechcesz mi pomóc. - Lubieżnym wzrokiem zmierzył jej zgrabną sylwetkę. - Wiesz, że wciąż za tobą tęsknię?

- Co ci się stało? - zapytała szorstko. Od razu przybrał cierpiętniczą minę.

- Wczoraj, w czasie gry w golfa, wykręciłem sobie nogę w kostce. Myślałem, że samo przejdzie, ale dziś prawie nie mogę chodzić. Tak bardzo mnie boli, że obawiam się, że to może być złamanie. Proszę, załatw mi natychmiast wizytę u jakiegoś lekarza. Bo tym kretyнком - zerknął w kierunku rejestracji - wydaje się chyba, że mogę zmarnować tu cały dzień.

Lindy z trudem zachowywała zimną krew. Nie zareagowała nawet, kiedy Jake po raz wtóry obdarzył ją czarującym uśmiechem.

- Jak ci się beze mnie widzie? Nadal się na mnie gniewasz?

- Ależ skąd! - odparła spokojnie. - Nareszcie mogłam odetchnąć. Całe szczęście, że nie zostałam twoją żoną. Byłby to największy błąd w moim życiu. - Przyjrzała się Jake'owi wzrokiem pozbawionym emocji. - Słyszałam, że jesteś już po wstępnym badaniu.

- Masz na myśli żalosne poczynania tej bezczelnej szczeniary, która poinformowała mnie, że inni pacjenci wymagają pomocy pilniej niż ja? Wiesz przecież, jak jestem zajęty. Za pół godziny mam spotkanie z klientem.

- Zaczekaj, porozmawiam z dyżurną pielęgniarką. Sheila, do której obowiązków należało dziś wstępne badanie pacjentów, popatrzyła na Jake'a z wyraźną niechęcią, gdy tylko Lindy wymieniła jego nazwisko.

- Rzeczywiście ma zwichniętą kostkę. Musi poczekać na rentgen, żeby wykluczyć ewentualne złamanie. Ale, jak się pewnie domyślasz, jest na szarym końcu listy. Mamy kilku pacjentów z wieńcówką, a jeszcze wiozą nam ofiarę z wypadku. Skąd go znasz? Ja nigdy w życiu nie spotkałam podobnego chama.

- Zaraz mu to powtórzę - roześmiała się Lindy.

- I co, kochanie? Udało ci się coś załatwić? - Z przystojnej, choć nieco zbyt nalanej twarzy Jake'a było przekonanie, że znowu postawił na swoim.

- Oczywiście. - Teraz Lindy uśmiechnęła się czarująco. - Będziesz musiał poczekać około trzech godzin. Kolejność przyjęć jest uzależniona od stanu pacjenta.

- Co? - krzyknął, czerwieniejąc z wściekłości. - Toż to czysta bezczelność!

- Przykro mi, Jake, ale mam naprawdę chorych pacjentów, którymi muszę się zająć - oznajmiła, przechylając prowokująco głowę. - Chyba ostatnio trochę przytyłeś. Dobrze ci radzę, ogranicz tłuszcze i nie pij tak dużo alkoholu. Od razu poczujesz się lepiej - oświadczyła, po czym, z trudem powstrzymując się od śmiechu, wróciła na oddział.

Nagle poczuła się lekka jak piórko. Nareszcie pozbyła się wątpliwości. Mike Corrigan w najmniejszym stopniu nie przypomina Jake'a Burtona. Jak w ogóle mogła snuć podobne porównania! Musiała być niespełna rozumu, by zauważyć w zachowaniu Mike'a jakiegokolwiek podobieństwo do nadętego sposobu bycia tego bufona. Różnili się jak ogień i woda. Że też dopiero przypadkowe spotkanie z Jakiem otworzyło jej oczy...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie mogła się doczekać powrotu Mike'a. Jak na ironię, od tygodnia nie miała sposobności zapewnić go o własnym uczuciu, gdyż w dniu, kiedy wreszcie łuski opadły jej z oczu, ukochany wyjechał na kilkudniową konferencję na północ kraju.

Powoli zaczynała zdawać sobie sprawę, że ból, jakiego doświadczyła w poprzednim związku, wywołuje w niej patologiczny wręcz lęk przed kolejnym rozczarowaniem. Dopiero teraz doceniła niezwykłą cierpliwość Mike'a, wyrozumiałość, z jaką traktował jej kolejne wybryki. Miała nadzieję, że przynajmniej zadzwoni przed weekendem. Mogliby nadrobić stracony czas, zorganizować jakiś dłuższy wypad za miasto. Z pewnością Mike nie odmówi jej prośbie, mimo że ostatnio go zawiodła.

Na szczęście kończyła już ostatni w tym tygodniu, piątkowy dyżur. Niebawem spotka się z Angelą i Bernardem, by wspólnie uczcić jej, Lindy, urodziny. Nie mogła się już doczekać dalszego ciągu matczynych opowieści. Przezornie zabrała dziś do szpitala zapasowe wizytowe ubranie. Przynajmniej nie będzie musiała tracić cennego czasu na powrót do domu.

Szybkim krokiem udała się po torbę, którą zostawiła rano w pokoju dla personelu.

- Niespodzianka! Sto lat, Lindy! - Cały pokój wypełnił się nagle radosnym gwarem.

Lindy była kompletnie oszołomiona. Ze wszystkich stron przyglądały się jej roześmiane twarze, aż nagle całe towarzystwo wybuchnęło gromkim śpiewem. Wtedy Sheila postąpiła krok do przodu, uroczyście dzierżąc w dłoniach urodzinowy tort z zapaloną pośrodku świeczką.

- Dziękuję! - Lindy roześmiała się serdecznie. - Ale myślałam, że przynajmniej datę urodzin uda mi się zachować

w tajemnicy. - Podeszła do Sheili i ucałowała ją w policzek. - Jeszcze się z tobą policzę, zobaczysz - szepnęła jej do ucha.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego - odparła z uśmiechem przyjaciółka. - Proszę zgłaszać pretensje do Mike'a.

Dopiero teraz Lindy zauważyła znajomą postać opartą o ścianę. Gdyby nie ci wszyscy ludzie, od razu rzuciłaby mu się na szyję i obsypała gradem pocałunków.

- Chodź, Lindy, wzniesiemy toast. - Sheila pociągnęła ją w kierunku stołu. - Po dzisiejszym dyżurze mogę wypić duszkiem całą butelkę.

- Ja też! - zawtórowała jej Carrie.

Lindy zrozumiała, że minie jeszcze z pół godziny, zanim wreszcie zostaną z Mikiem sami. Zdziwiła się tylko, że mimo iż właściwie wszyscy już zdążyli złożyć jej życzenia, Mike nawet nie ruszył się ze swego miejsca pod ścianą. Czyżby wciąż gniewał się o to, że bez entuzjazmu przyjęła jego przeprosiny? Musi mu jak najszybciej wyjaśnić, że teraz wszystko się zmieni.

W końcu jednak pojawił się u jej boku.

- Wszystkiego najlepszego, Lindy - szepnął. - Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego małego przyjęcia, ale nie mogłem przepuścić okazji. Szczególnie że, jak sądzę, nie zechcesz się wybrać dziś ze mną na kolację.

- Bardzo bym chciała, Mike, ale...

- Ale jesteś zajęta - powiedział martwym głosem. - Nie martw się, Lindy, rozumiem. - Pochylił się i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie wzajemnie. Oczy Mike'a płonęły taką namiętnością, że Lindy już teraz czuła na skórze dreszcz rozkoszy. Nagle w ogóle przestała zwracać uwagę na otaczających ich ludzi.

Mike wyjął z kieszeni małe pudełeczko.

- Pomyślałem, że może przypomni ci to czasem o wspólnie spędzonych chwilach. - Wcisnął prezent w rękę Lindy, po czym obiema dłońmi ujął jej twarz i pocałował jeszcze raz, ale tym razem inaczej, mocniej, jakby ze złością.

Zaskoczona, cofnęła się o krok. Otworzyła pudełko i zajrzała do środka. Na atlasowej wyściółce leżał malutki złoty wisiołek przedstawiający postać lekkoatlety.

- Jaki śliczny - szepnęła z zachwytem. - Nie powinieneś... ale naprawdę jest przepiękny. Dziękuję.

- Na pamiątkę naszego wspólnego biegu i tego, co nastąpiło po nim. No i na pożegnanie.

- Na pożegnanie? O czym ty mówisz? - Lindy poczuła, że uginają się pod nią nogi. - Nie rozumiem...

Michael uśmiechnął się smutno.

- Nie mam pretensji o to, że nie przyjąłeś moich przeprosin. Zdaję sobie sprawę, że po tym, przez co przeszłaś, muszę wydawać ci się strasznym despotą i nie chcesz mieć ze mną do czynienia. Jesteś zbyt delikatna, żeby powiedzieć mi o tym prosto w oczy, więc postanowiłem sam usunąć się z twojego życia.

Lindy poczuła takie dławienie w gardle, że z trudem dobywała słów.

- Ale to niemożliwe... Nie możesz tak po prostu odejść. Skąd wiesz, czego naprawdę pragnę?

- Mogę się tylko domyślać - odparł. - Ilekroć zdarzy mi się powiedzieć coś, co nie przypada ci do gustu, od razu porównujesz mnie z Jakiem.

Wzrok Lindy wyrażał kompletne oszołomienie.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Myślałam, że mamy jechać razem do Włoch.

Mike pokręcił głową.

- Sama powiedziałaś, że to chyba nie najlepszy pomysł - odrzekł spokojnie. - W czasie konferencji miałem nareszcie

trochę czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanowić, i doszedłem do wniosku, że po prostu za wcześnie pojawiłem się w twoim życiu. Nie mam prawa wymagać, żebyś tak szybko zapomniała o Jake'u.

- Nie rozumiesz. Ja też sporo ostatnio myślałam. Mike przyjrzał się uważnie jej twarzy.

- Wierz mi, tak będzie lepiej. Nie jesteś w stanie pokochać mnie tak bardzo, jak ja Kocham Ciebie.

- To nieprawda - zaprotestowała zduszonym głosem.

- Zaufaj mi, proszę.

Za plecami Lindy ktoś właśnie wybuchnął gromkim śmiechem. Zabawa rozkręcała się na dobre.

- Pójdę już. Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała. - Delikatnie pogładził ją po policzku. - Do zobaczenia, moja mała.

Lindy jechała do Apsley Grange ze ściśniętym sercem. W uszach wciąż brzmiały jej słowa Mike'a. Jak mógł uwierzyć, że ich związek nie ma przyszłości! Bezradnie pokręciła głową. Dlaczego wcześniej nie oprzytomniała? Dlaczego bez przerwy oskarżała Mike'a o to, że jest podobny do Jake'a? Dlaczego odrzuciła go, kiedy usiłował ją przeprosić?

Teraz wszystko przestało ją cieszyć. Nawet rychłe spotkanie z matką nie było w stanie poprawić jej nastroju.

Angela czekała na nią na schodach prowadzących do dworku. Na jej widok Lindy uśmiechnęła się promiennie. Za nic w świecie nie zepsuje dziś mamie humoru opowiadaniem o własnym nieudanym romansie.

O dziwo, uśmiech malujący się dziś na twarzy Angeli nie był tak szczery jak przed tygodniem. Co prawda powitała Lindy serdecznie, ale zmęczonej, jakby zmartwionej czymś twarzy brakowało blasku.

Lindy przyjrzała się matce z niepokojem.

- Źle się czujesz?

Angela pokręciła głową i wytarła nos chusteczką. Wyraźnie powstrzymywała się od płaczu.

- Coś się stało? Proszę, powiedz! - nalegała Lindy.

- Przepraszam cię, kochanie. Mieliśmy dziś przecież świętować, ale Bernard...

- Miał wypadek? - spytała Lindy z przestraszeniem.

- Nie, ale od rana bardzo źle się czuję, a co gorsza, odmawia czyjejkolwiek pomocy. Chciałam zadzwonić po lekarza, ale mi nie pozwolił. Obiecał tylko, że nie będzie się sprzeciwiał, jeśli ty dojdiesz do wniosku, że powinien zasięgnąć porady. Tak mi przykro, że zepsuliśmy ci urodziny.

- Nie bądź niemądra. - Lindy otoczyła matkę ramieniem. - Naprawdę cieszę się, że mogę się na coś przydać. Chodź, spróbujemy przemówić mu do rozsądku.

Bernard leżał na kanapie w salonie. Miał zmienioną, poszarzałą twarz. Na widok Lindy uśmiechnął się słabo.

- Angela pewnie nastraszyła cię, że wybieram się na tamten świat - zażartował. - Ale nie jest jeszcze ze mną tak źle. Po prostu trochę mnie dziś poddusza. Nie ma się czym przejmować.

Lindy od razu zorientowała się, że Bernard nadrabia miną, by jeszcze bardziej nie wystraszyć żony.

- Wiesz, o czym marzę? - zapytała, kierując spojrzenie na matkę. - O filiżance mocnej, gorącej herbaty.

- Oczywiście, kochanie, zaraz ci przyniosę.

Kiedy Angela zniknęła za drzwiami, Lindy przyjrzała się choremu badawczo.

- A teraz mów, co ci naprawdę dolega? Tylko nie próbuj mnie oszukać.

- Rzeczywiście nie czuję się najlepiej. Mam takie dziwne klucie za mostkiem i w okolicach barku. Poza tym chwilami nie mogę złapać tchu. Ale nie chciałem martwić Angeli, bo

tak się cieszyła, że będziemy dziś obchodzić twoje urodziny. Wszystko wam zepsułem.

- Co też opowiadasz! - zachnęła się Lindy. - Ale możesz rzeczywiście popsuć nam wszystkim wieczór, jeśli nie przestaniesz się upierać, że nie życzysz sobie wizyty lekarza.

Bernard chwycił Lindy za rękę.

- Posłuchaj, moje dziecko. Ja po prostu okropnie nie lubię tutejszego doktora. To taki nadęty facet. Już dawno miałem przepisać się do kogoś innego, tylko jakoś nie miałem czasu. Nie możesz sama postawić diagnozy? Obiecuję, że dostosuję się do twoich zaleceń.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- No więc sądzę, że koniecznie powinien obejrzeć cię lekarz. Albo tutaj, albo zawieziemy cię do szpitala.

- Co to, to nie! Nie zgadzam się na żaden szpital - zaprotestował Bernard - ale jeśli znasz jakiegoś porządnego doktora, to pozwalam ci po niego zadzwonić.

Lindy zastanowiła się. Czy Mike nie powiedział jej przypadkiem na odchodnym, żeby nie wahała się go prosić o pomoc?

- Chyba mogę ci kogoś polecić. To mój kolega z pracy. Jest naprawdę świetny.

Mimo złego samopoczucia Bernard musiał coś zauważyć, bo popatrzył na Lindy badawczo.

- To twój chłopak? - zapytał.

- Nie - odrzekła, oblewając się rumieńcem. - I tylko sobie mogę za to podziękować. Niestety, praca i miłość raczej nie idą w parze.

- Niekoniecznie - mruknął chory. - Nie zapominaj, że poznałem Angelę właśnie w pracy.

Mike wyprostował się i schował stetoskop do kieszeni.

- Moim zdaniem w tej chwili nic złego się nie dzieje - poinformował z uśmiechem pacjenta. - Mimo to uważam, że powinien pan koniecznie przebrać się w szpitalu. Podobnie jak Lindy, twierdzą, że to był atak dusznicy.

- Doktorze, jak mam się panu odwdzięczyć? Że też chciało się panu jechać taki kawał drogi, i to w dodatek tuż przed weekendem - powiedziała Angela przez łyzy.

- To naprawdę nic takiego, zwłaszcza że i tak nie miałem innych planów. - Mike spojrzał na Lindy. - A poza tym proszę zwracać się do mnie po imieniu.

- To proszę przynajmniej zostać na kolacji.

- Bardzo bym chciał, ale oboje z Lindy jesteśmy zdania, że powinniśmy zabrać Bernarda na badania. Zaraz zadzwonię do Świętego Łukasza i poproszę, żeby czekali na nas za pół godziny. To raczej nic poważnego - dodał, spoglądając na chorego - ale zawsze lepiej mieć pewność.

- Trudno, poddaję się - skapitulował Bernard, najwyraźniej jedynie po to, by im wszystkim zrobić przyjemność.

- Angelo, pojedziesz z Lindy jej samochodem, dobrze? A ja zabiorę twojego męża - powiedział Mike.

W drodze do szpitala rozmawiały tak swobodnie, jakby się znały od lat.

- Kiedy tylko Bernard poczuje się lepiej, urządzimy prawdziwe przyjęcie - obiecała Angela. - Nawet nie wyobrażasz sobie, jaką poczułam ulgę, kiedy przyjechał ten lekarz. Bardzo sympatyczny człowiek. Jest żonaty?

Lindy zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Nie. Podejrzewam, że jest zbyt zajęty pracą, żeby się wdawać w romanse.

- Czyżby?

- Chcą zatrzymać Bernarda na parę dni, żeby mu zrobić dokładne badania. EKG wykazało niewielką arytmie -

wyjaśnił Mike. - Ale nie ma powodu do obaw, mąż jest w naprawdę świetnych rękach - dodał na widok zmartwionej miny Angeli.

- Najlepiej będzie, jak sama się niedługo położysz. Zapraszam cię do siebie. - Lindy serdecznie otoczyła matkę ramieniem.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale myślę, że najlepiej wyśpię się we własnym łóżku. Poza tym muszę nakarmić psy. Ale - spojrzała na Mike'a i córkę z niepokojem - chyba będę musiała was prosić, żebyście odwieźli mnie do domu. Jestem przecież bez samochodu.

- Oczywiście, skoro naprawdę nie możesz zostać... W drodze do Apsley Grange Lindy nagle olśniła myśl, że będą wracać do Manorfield tylko we dwoje. Czy zdoła wykorzystać tę szansę, by wytłumaczyć Mike'owi, że jednak mogą być razem? Postanowiła też przeprosić go za popełnione błędy.

Kiedy ruszyli w drogę powrotną, było jeszcze widno, a czerwone o zachodzie słońce właśnie zaczynało chować się za wzgórzami.

- Zapowiada się piękna pogoda - zauważyła Lindy, przyglądając się Mike'owi dyskretnie. - Jestem ci naprawdę wdzięczna za to, że zgodziłeś się przyjechać. Nie miałam do kogo się zwrócić.

- To ja powinienem czuć się zobowiązany. Bardzo wiele się dzisiaj dowiedziałem.

- Tak? - spytała z zaciekawieniem. Przecież nawet nie powiedziała mu jeszcze, że jest córką Angeli. Po prostu jakoś dotąd nie miała okazji.

- W drodze do szpitala Bernard nie przestawał o tobie opowiadać. Nawet nie musiałem o nic pytać. Był tak zdenerwowany, że prawie nie zamykał ust.

- Więc - Lindy utkwiała wzrok w szybie - czegoż to się dowiedziałeś na mój temat?

- Przede wszystkim tego, jak wiele nas łączy.

- No wiesz? Myślałam, że powiesz, że nie wiedziałeś dotąd, że Angela jest moją matką. Bernard wspomniał ci o tym, prawda?

Mike zaparkował samochód pod domkiem Lindy.

- Nie sądzisz, że wygodniej będzie się nam rozmawiało u ciebie?

Otwierając drzwi, Lindy czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach. Pustka, jaka przed kilkoma godzinami gościła w jej sercu, zaczynała się powoli wypełniać.

- Kiedy ostatnio tu byłem - zaczął Mike, rozglądając się po pokoju - wiedziałem już, że bardzo cię lubię, choć niewiele mogłem o tobie powiedzieć. Na przykład, nie miałem pojęcia o tym, że już się kiedyś spotkaliśmy. Wiele, wiele lat temu, kiedy żadne z nas nie słyszało nawet o istnieniu szpitala Świętego Łukasza.

Oczy Lindy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Jak to?

Mike ujął ją za rękę i delikatnie powiódł palcem po rysującej się nierównym zygzakiem bliźnie.

- Pamiętasz tamten wypadek?

- Oczywiście - przytaknęła, marszcząc brwi. – Byłam tak przestraszona, że nawet teraz czasem śni mi się po nocach, jak przelatuję przez szybę.

- A przypominasz sobie, kto tam był razem z tobą? Od samego początku?

- Owszem - powiedziała powoli. - Pamiętam chłopca, który przyłożył mi do rany chustkę i wezwał pomoc.

Mike uśmiechnął się i Lindy wreszcie zrozumiała, co próbuje jej powiedzieć.

- To byłeś ty? Też mieszkałeś w Oaklands Home?

- Przez kilka lat, kiedy mama zupełnie nie mogła sobie poradzić - wyjaśnił cichym głosem. - Właśnie z powodu

twojego wypadku postanowiłem studiować medycynę. Czyli - zaśmiała się - sama widzisz, że to wszystko twoja wina. - Delikatnie ujął w dłonie jej twarz. - Nie sądziłem wtedy, że kiedykolwiek cię jeszcze zobaczę. Nie uważasz, że to osobliwe zrzędzenie losu, że po tych wszystkich latach znowu się spotkaliśmy?

Lindy aż przysiadła z wrażenia.

- Jakie to dziwne! Wiesz, że podobno wtedy uratowałeś mi życie?

Mike usiadł obok niej.

- Bernard jeszcze coś mi powiedział...

- Coś równie ważnego?

- Zasugerował, że jednak nie masz o mnie najgorszego zdania.

Lindy oblała się rumieńcem.

- Ja tylko mówiłam, że praca i miłość nie zawsze idą w parze...

- Właściwie - roześmiał się z przekorą - może nawet byłbym gotów to sprawdzić.

Poczuła, że serce znów zaczyna jej bić jak szalone. Czyżby los właśnie dawał jej szansę, by zacząć wszystko od nowa? Utkwiła spojrzenie w szlachetnej, czulej twarzy ukochanego mężczyzny.

- Ja też chciałam ci coś wyznać, Mike - zaczęła. - Miałam powiedzieć ci o tym w trakcie przyjęcia, ale mnie uprzedziłeś.

Zdjęła z szyi wisiorek.

- Wolałabym, żeby to nie był pożegnalny prezent. Wcale nie musimy się rozstawać. Ostatnio sporo zrozumiałam.

- Na przykład co?

Z czułością pogładziła go po opalonym policzku.

- A choćby to, że mam absolutną pewność, że nigdy, w najmniejszym nawet stopniu, nie byłeś podobny do Jake'a

Burtona. Musiałam być niespełna rozumu, żeby cię o to oskarżać.

- A to ci dopiero dobra nowina! - Spojrzał na nią wzrokiem, w którym migwały wesołe ogniki. - Możesz to jakoś udowodnić?

Tym razem to Lindy ujęła jego twarz w dłonie i to ona pocałowała go namiętnie. Mike nie wahał się długo. Pociągnął ją za sobą na kanapę z radością popatrzył w oczy.

- To faktycznie jest jakiś dowód - przyznał, zaplatając ręce na jej szyi. - Więc może nadszedł już czas, żebyśmy się lepiej poznali? No i musimy się przecież przygotować do pobytu w Toskanii. Chyba postaram się wyperswadować siostrze ten wyjazd! - oznajmił i obsypał Lindy gradem pocałunków. - Jednak przede wszystkim chciałbym teraz zrobić coś, o czym marzyłem od momentu, kiedy cię poznałem. - Spojrzał na nią z przewrotnym uśmiechem. - Tylko że chyba wygodniej by nam było w sypialni...